





W. Kubu 1947

NA OBCZYŻNIE.

<http://fan.org.pl>

POLSKA APTEKA

LABORATORJUM i FABRYKA WÓD
MINERALNYCH POD FIRMA:

M. K. KOCH

właściciel
prowizor Adam Nałęcz Tuszyński

Charków, Moskowska 16, dom własny,
— Telefon № 201. —

poleca:

Środki patentowane gumowe, opatrunkowe, mydła
medyczne, preparaty galenowe, wyrabiane w wła-
snym laboratorjum.

WODY MINERALNE SZTUCZNE: Borżom, Wichy
Wildungen, Kissingen, Karlsbad, Obersalebrunn,
Kontreksewill, Fosforowe, Ems-Apenta, Hunjadi,
Batalińska, Franciszka Józefa, Pilnawska i Li-
monjada Magnezjowa.

OWOCOWE: Pomarańczowa, Ananasowa, Gruszo-
wa, Cytrynowa, Żurawinowa, Sodowa w syf. i but.
Zamówienia przyjmują się przez telefon № 201
i dostarcza się do domów nie mniej jak 10 bu-
telek różnych wód.

Woda dystylowana dostarcza się pp. lekarzom
i szpitalom do domów.

Café

WARSZAWIANKA

CHARKÓW

Piotrowski zaułek № 19.

Śniadania,

Obiady,

Kolacje.

➡ Znana z dobroci ➡

Kawa „po Warszawsku“

Zakład otwarty do godz. 1-ej w n.

1105202011 1105202011 1105202011

NA OBCZYŻNIE

ZESZYT ZBIOROWY

NAKŁADEM

STANISŁAWA KASZTELEWICZA

BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

CHARKÓW — 1917 r.

SKŁAD GŁÓWNY
KSIĘGARNIA POLSKA
SUMSKA № 44.

<http://rcin.org.pl>

129. Nr. 24. 7

NA ORGYZMIE

23.719



DRUKARNIA N. SZAJNBERGA
CHARKÓW, ulica RYBNA № 5.



<http://rcin.org.pl>

JERZY BANDROWSKI.

ŁUK TRYUMFALNY.

W setną rocznicę zgonu Tadeusza Kościuszki.

NAD CHMURAMI, CO MORZEM PONUREM SIĘ KLĄDĄ,
W GŁĘBIACH CZASU, ZŁOM TĘCZY WYKWITŁ MI ARKADĄ
SKRZĄCĄ, ZUCHWAŁĄ,
RZUCONĄ ŚMIAŁO
PRZEZ BURZLIWEGO WIEKU SPIENIONE ODMĘTY.
COKOŁEM SĄ ŁUKOWI TEMU KONTYNENTY,
ROZGRANICZONE SIWYM OCEANEM,
SŁUPAMI, CO DŹWIGAJĄ LEKKI KONTUR ARKI,
OGNISTE I ZUCHWAŁE AKTY WOLI SZPARKIEJ,
ZAŚ SAM ŁUK W NIEBIE, ZORZĄ KRAŚNĄ MALOWANEM,
W GWIAZD BRYLANTOWYCH OGRODY WISZĄCE
WBIŁ CZOŁO SKRZĄCE,
<http://rcin.org.pl>

NA KTÓREM TĘCZOSKRZYDŁYCH DUCHÓW JASNE CHMARY,
BŁONI BŁĘKITNEJ PODOBNE KWIATOM,
ZDUMIONYM ŚWIATOM
TRĄB ZŁOTYCH TRYUMFALNE RZUCAJĄ FANFARY.

Z ZIEMI, NA KTÓRĄ WŁAŚNIE NAKŁADANO PĘTA,
STRZELIŁ, JAKO SŁUP WRĄCEJ KRWI TEN ŻOŁNIERZ JASNY
ŚWIĘTEJ, CUDNEJ WOLNOŚCI. MATCE WŁASNEJ
POMÓDZ NIE MOGĄC, JAKOWE DZIECIĘTA,
CO SZŁY PO WODE ŻYWA, AŻ NA SZKLANĄ GÓRĘ
I WRAZ Z MATKĄ WSKRZESZAŁY CMENTARZE PONURE
LUDZI ZAKAMIENIAŁYCH, SZEDŁ, GDZIE JĘKI
NIEWOLNYCH SERCA JEGO WZYWAŁY I RĘKI,
BY, GDY W KAJDANY JEGO ZAKUWANO PLEMIE,
WYGNAĆ NIEWOLE, WOLNĄ CAŁĄ CZYNIĄC ZIEMIĘ.
LAFAYETTE, PROMIENISTY WOLNOŚCI RYCERZU,
TY, COŚ FRANCJI, BURZĄCEJ GRÓB, BYŁ ARCHANIOŁEM,
TYŚ GO NA AMERYKI DZIEWICZEM WYBRZEŻU
WIDZIAŁ, PRZECIW CIEMIEZCOM ON SZEDŁ Z TOBĄ SPOŁEM,
KOMENDY SŁOWEM SKRZYDLATEM
WRAZ Z TOBĄ WŁADAŁ, BYŁ CI Z OGNIĄ BRATEM!

CNOTLIWY WASZYNGTONIE, TY POWIEDZ, AZALI
W GROMACH STRASZĄCEJ PRÓŻNO WOLNOŚĆ ARTYLERJI
ON NIE STAŁ TAM, GDZIE TWOI ŻOŁNIERZE PADALI,
NA RÓWNIACH PRERJI,
W KTÓREJ BUJNEJ, SOCZYSTEJ, WONNEJ ZIELONOŚCI
RÓŚL KWIAT WOLNOŚCI
CENNIJSZY, NIŻLI ZŁOTE TWOICH ŁANÓW ZBOŻE?
SYNU LECHJI, TY WSPOMNIJ WODZA, CO MIAŁ WIEDZĘ
ZAKŁĘCIA, KTÓRE CHŁOPÓW ZWOŁUJE NA MIEDZE,
PROSTUJE KOSY, JAK BERDYSZÓW NOŻE
I DZIELI W PUŁKI TO ROLNICZE MROWIE!
TĘ MOC SŁOWA ŁOKIETEK KIEDYŚ MIAŁ W OJCOWIE!

ZWYCIĘŻYŁ GWALT I DUCHA PRZELAMAŁ NA ZIEMI,
LECZ WSPOMINANY SERCAMI WDZIĘCZNYMI
KĘDYS W DALEKIEJ AUSTRALJI
ZMIENIONY W GÓRĘ, BOHATER SIĘ PALI
WIECZYSTYCH ŚNIEGÓW OGNIAMI JASNYMI,
A IMIĘ JEGO, POMIĘDZY PÓLBOGÓW
RZUCONE SŁAWNYCH IMIONA, W CIEMNOŚCI
NOCNEJ, NA STRAŻY U NIEBIESKICH PROGÓW,

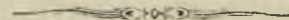
ŚPIEWAŁO ŻŁOTĄ SWĄ PIEŚŃ O WOLNOŚCI,
MARZĄC I CIESZĄC NADZIEJĄ...

WY, COŚCIE SIĘ Z GWIAZD ŚMIALI, MÓWIĄC, ŻE NIE GRZEJĄ,
COŚCIE SIĘ W NOCY WIECZNE DALI LENNO,
SPOJRZYJCIE JENO
NA OWO ŻŁOTE POŚRÓD GWIAZD OGNIWO!
PATRZCIE, JAK OGNIĘ JEGO OLBRZYMIEJĄ,
JAK SIĘ ZMIENIA W ANIOŁA Z PŁOMIENISTĄ GRZYWĄ,
JAK GROMEM BŁYSKA,
WOLNOŚCI ROZKAZ POTĘŻNY WCISKA
W KREW TYM, CO JESZCZE, ZDAŁOBY SIĘ, W CZORA
Z MACIEJOWIC UGORA
UNOSILI W TRYUMFIE ORŁA OMDLAŁEGO...
PO KRWAWEJ ORCE
DZIŚ TŁUMEM BIEGĄ,
KĘDY NA SZMARAGDOWE POLA ŻŁOTA WIEDZIE BRAMA,
GDZIE WOLNOŚCI CZERWONE PALĄ SIĘ PROPORCE,
A PIEŚŃ ICH, SŁYSZYSZ, TASAMA,
KTÓRĄ NUCIŁEŚ, ŚMIAŁY LAFAYECIE
W CHWILACH ZADUMY

WSPARTY NA DZIAŁA STRZASKANEJ LAWECIE,
KTÓRĄ KOŚCIUSZKO W POCHMURNEJ ROZTERCE
KRZEPIŁ SWE SERCE,
WIECZNA, WCIAŻ NA BASTYLJĘ NOWE WIEDZIE TŁUMY!

BO SERCE BOHATERA JEST JAK GWIAZDA ZŁOTA,
KTÓRĄ BÓG MIOTA
NAD GŁUCHE WIEKI,
Z BŁYSKÓW JEJ KRZESZĄC W PRZYSZŁOŚCI DALEKIEJ
LUDZIOM KU TRWAŁEJ PAMIĘCI
ŁUK TRYUMFALNY PRAWDZIE, CO SIĘ WIECZNIE ŚWIĘCI.

Ryzów, Kolonja Polska.



Tragizm narodu polskiego.

Jeżeliby wzniosłe narody otrzymywały w dziejach świata charakterystyczne przydomki, tak jak je historia nadaje wybitnym panującym, nasz nieszczęsny naród powinien nosić zawołanie „Tragiczny“.

* * *

I.

„Najjaśniejsza Rzeczpospolita“, państwo największe terytoryalnie w swoim czasie w Europie, w samym typie i charakterze stworzonej przez się potęgi nosiło zarody upadku.

Pomijając liczne błędy polityczne, które jako takie nie noszą tragicznego charakteru, zaznaczam tylko te stosunki i fakty, które w najlepszej wierze zainicyowane, doprowadziły Polskę do zguby.

Bratni lud ruski — luźnie tylko Uniami z gwiazdą Polski związany — a jednak jej wyłącznie zawdzięczający swe wolności, skierowawszy w ruchach kozaczyzny ostrze swej broni przeciw wspólnej ich i naszej Ojczyźnie, doprowadził w dalszej konse-

kwencyi dziejów do rozprężenia polskich stosunków państwowych, do interwencyi mocarstw obcych, do ostatecznego unicestwienia bytu Rzeczypospolitej.

Krótkowidztwo sfer rządzących nierządem Polski, pomimo najgorętszej miłości Ojczyzny i namiętnej żądy wolności z jej łona czerpanych, dopomogło do zawalenia się gmachu państwowego.

Upajanie się ogółu najwznioślejszemi ideami ogólnoludzkimi, jak poszanowanie wolności cudzej tak zbiorowej jak i indywidualnej, umiłowanie spokoju międzypaństwowego, wyszło Polsce na zgubę.

Rozpaczliwe wysiłki duchów górnych, co ogarnęły całe bezdno przepaści, nad którą Polska w ostatnich chwilach istnienia zawisała, nie zdołały nawy narodowej poprowadzić na wody zbawienia, bo wytężeniom ducha przeciwstawiła się brutalna przemoc materji.

W dalszym przebiegu dziejów naród zakuty w kajdany niewoli targał rozpaczliwie swemi okowy, a okrwawiwszy się w bezskutecznych zapasach z przewagą liczebną marzył jeszcze o przodownictwie w dziejach choćby cierpienia ludzkości, marzył o ideałach w chwilach, gdy w drzazgi

rozbijano mu podwaliny doczesnej egzystencji.

II.

Szczyt tragizmu osiągnęliśmy z początkiem drugiej połowy XIX stulecia.

Po nieszczęsnej, zbiorowej zbrodni roku 1846, popełnionej w Austrii przez lud polski na sferach szlacheckich, przyszedł w drugim zaborze poryw zbrojny roku 1863, który potokami krwi naszej najcenniejszej zalał nadwiślańskie niwy. W Prusiech zaś w niedługi czas potem nastął czas ogniowej próby, kiedy woła żelaznego kanclerza pragnęła nas unicestwić doszczętnie i kiedy system państwowy nie przebiegał w środkach zagłady. Prócz nieprzychylnego dla narodu polskiego układu stosunków wewnątrz państw rozbiorowych, także i konstelacja ogólnie europejska zdawała się do nas wołać: „Lassiate ogni speranza“. Najmniejsza chmurka nie mąciła horyzontu nad „świętym przymierzem“, kwestya polska osiągnęła dno nędzy, bo była uważana za sprawę domową, państw rozbiorowych, której dzieje na szerszy horyzont już nigdy nie wyniosą. Grób naszego narodu wydawał się wtedy nietylko trwale wykopany,

ale i nawet zamurowanym tak szczelnie, że najdelikatniejszy promyk światła w jego posępne cienie nie powinienby się dostać. To jeszcze nadawało większej grozy tragizmu, że kierownicy opinii narodowej sami godzili się z istniejącym stanem rzeczy, sami stworzyli beznadziejne pojęcie trójlojalizmu, sami nawet przyszedłszy do władzy pomagali do lepszego zabicia wieka trumny Ojczyzny naszej. Duch narodowy nękanym przez obcych, a rozstrajany przez swoich, znikąd nie widząc pociechy słabnął i obumierał, rozterki partyjne małością codziennych waśni zapełniały smutne dni bez jutra. Jeden odłam myśli narodowej zwiesił znużone skrzydła i nie pragnął już lotu w sferę marzeń, drugi, jak tropiony złoczyńca ukrywał się wśród grobowców i pełzał poprzez chwasty życia.

Pamięć dawnej Świetności potęgowała jeszcze nędzę dnia przeżywanego — nie budząc już jednak nadziei.

Czyżby tragizm narodowy osiągnął wtedy swe maximum napięcia?

Spodziewać się każdemu wolno!

III.

Ku samemu końcowi XIX wieku sy-

tuacja polityczna międzynarodowa zaczęła się komplikować. Ekspansje poszczególnych państw europejskich wzajemnie już sobie przeszkadzały nie tylko w Afryce i Azji, lecz nawet różne kolidujące z sobą wpływy zetknęły się we wnętrzu „chorego człowieka nad Bosforem”. W związku z tarciem wielkich państw, dążących do Konstantynopola, z czem się sprawa polska organicznie zawsze także komplikuje — wygładzona dotąd tafla morza niepamięci, które zalało swemi falami narodową naszą mogiłę, zaczęło się marszczyć, ruchy pod powierzchnią wskazywały na to, że e pur si muove... że Ona śpi spowita nie snem nieprzespanym — ale, że tylko letarg chwilowo zamroził Jej Oczy. Otuchą skrzepło serce Jej ludu i zaczęła się energiczniejsza walka o istnienie narodowej kultury. Wszelkie zakusy na wydarcie najcenniejszego skarbu, ojczyściej mowy i wiary, w zaborze pruskim zawiodły. Chęci wypędzenia nas z kosturem żebraczym z ziemi naszych przodków doprowadziły do niezamierzonego i nieoczekiwanego rezultatu, do zorganizowania się stalowego oporu o zagon świętej dla serc ziemi, do wytworzenia silnego i odpornego stanu trzeciego w po-

znańskim. W Galicyi zaś krok za krokiem tworzyły się wprawdzie drobne początkowo placówki przemysłu polskiego, ale za to dążenie ku oświacie, ku wiedzy, ku nauce polskiej wśród przyjaznego wtedy układu stosunków krajowych szybko postępywało naprzód. Młodzież, naśladowując starszych, zaczęła organizować się narodowo w związki polityczne, całe społeczeństwo wyzwoliło stopniowo swój lot od więzów biurokracji. Zaczął się okres budzenia ducha narodowego przez coraz szerzej na sprawę narodową zapatrujące się stronnictwa, walka o polskość intensywniała z każdym dniem. W końcu w centrum naszej ojczyzny i na gruncie ekonomicznym i walka o ziemię, a wraz z pomnażającymi się bogactwami narodu organizowała się tam także coraz doskonalsza praca nad oświatą ludu, nad zszeregowaniem go w odżywcze związki kooperatywne.

Myśl narodowa śmieiej pięć się po-
częła na szczyty odrodzenia, aż z ciemnej
mogiły wydobył się nareszcie pogrobowy
kwiatek Nadziei.

Myśl o lepszym jutrze przy bardzo
ciężkiej jeszcze chwili obecnej stanowiła

tragizm tego okresu, bo pomiędzy wizją na nieokreśloną bliżej, może bardzo oddaloną przyszłość, a niedolą dnia każdego przewijała się wąta nić narodowej egzystencji.

IV.

„Wielkiej zawieruchy dziejowej daj nam Boże“ modlił się Mickiewicz. I przyszła ona nagle, jak piorun wystrzeliła napozór z drobnej chmurki konfliktów międzynarodowych. To co już w poprzednim okresie było zaledwie przeczuwanem przez niewielu, stało się rzeczywistością. Ze sprawy polskiej zdjęto piętno sprawy domowej państw zaborczych. Na nurtach fali losu ukazała się postawiona jako pierwszorzędna kwestya międzynarodowa tak przez obietnicę Austrii co do sprawiedliwego traktowania życzeń Polaków, jak i przez oficjalną zapowiedź Rosyi o przyszłym urządzeniu Polski jako samodzielnej jednostki państwowej. Prusy wprawdzie milczały prostolinijnie, a jednak w tej surowej ciszy milczenia tak potężnego jak niegdyś wypowiedziane: „Point des rêveries meussieurs“ tkwiła nadziei, inne narody świata jednogłośnie obwieściły, że nasz naród, zajmują-

cy liczebnie i kulturalnie tak poczetne miejsce w Europie, nie może dłużej być zakuty w kajdany niewoli.

Własne nasze organizacye społeczne i związki młodzieży rozwijają swe sztandary, a stronnictwa dochodzą prawie bez wyjątku do jednego żywiołowego dążenia zupełnej swobody. Myśl Polski jasno, otwarcie i jednomyślnym chórem krzepi serca otuchą, że to co jest nieuchronnym wynikiem roztrząsań rozumowych, stanie się także uchwytną rzeczywistością.

Cały okres wojny europejskiej jest okresem stopniowego uiszczania się marzeń duszy polskiej — okresem powolnego, ogniwo za ogniwo — rozluźnienia się pęt niewoli. Mimo to położenie narodu nie staje się mniej tragiczne, pęta jeszcze nie opadły, a już samą nadzieję lepszej przyszłości trzeba było natychmiast okupić morzem krwi polskiej, w bratobójczej walce wylanej, zniszczeniem ziemi polskiej przez rozszalałą burzę wojenną. A bladego cienia, wypełzłego z Hadesu, oddziela od szczytu marzeń „droga stroma i śliska“, gdzie gwałt i słabość bronią jeszcze wschodu.

Naród polski w chwili pożogi wojennej, szalejącej nad Europą, jest podobny

Prometeuszowi na skale rozpiętemu, co sam nie może ulżyć swemu straszemu losowi. Bezsilny on jeszcze, może tylko myśłą pruć niebo, może tylko w kurczowych wysiłkach targać więzami, choć ostatki sił zebranych w rozpacz nie stoją w żadnym stosunku do siły pęt i okowów.

Ożywcza siła ognia, o której śni biedny niewolnik na skalnem podhalu rozkrzyżowany, może wyjść nie jemu na pożytek. Czy bowiem dobry los włoży napowrót zabrane przyrządy do krzesania ognia w zakrzepłe jego dłonie? Czy ogień rozniecić zdoła? Czy siła ognia przepali kajdany?

A los narodu polskiego jeszcze tem tragiczniejszy, że nad całością kajdan narodowych czuwają częstokroć własne jego dzieci.

I znów tylko sny o potędze — wśród upływu krwi serdecznej z ran — są udziałem dnia dzisiejszego.

V.

Spodziewamy się wszyscy lepszej przyszłości — ale w jej istotną realizację rozum nie bezwzględnie wierzy.

Po ruinach i zgliszczach przeszłości,

po szczytnych nadziejach chwili obecnej, surowa troska musi owładać dusze, gdy myśl w przyszłość ulata. Niebezpieczeństwo, w jakim znajdują się potęgi dziś się ścierające, przeminie tak dla jednych jak i dla drugich państw. Idee, potrzebne narodom w chwili walki o istnienie, ustąpią miejsca innym, przystosowanym do normalnej już rzeczywistości. Ludzie, którzy sprawę polską dziś tak a nie inaczej postawili, odejdą w nicosć nieistnienia. Zimna racja stanu skieruje się w drugą stronę, napięcie sił świata w innym pójdzie kierunku. Uwaga, jaką darzy dziś świat cały naszą Świętą i wielką sprawę, odwróci się od naszej zdeptanej morzem ognia krainy — duch Ludzkości inne obejmie horyzonty.

Czy po bujności dnia dzisiejszego nie nastąpi znów dekadencja zewnętrznych walorów naszego narodu? Czy nasz los z kwestyi międzynarodowego znaczenia nie stanie się znów wyłączną dziedziną domową mocarstw rozbiorowych? W lepszą przyszłość wierzymy wszyscy, wątpić nikomu nie wolno, bo w jedności pragnień leży nasza największa siła. W głębi duszy jednak czai się na dnie hydra pytania, czy dzisiejsza kolizja dziejowa dojdzie do swych najosta-

teczniejszych konsekwencji, czy nie stanie w pół drogi, czy zdołamy z zawieruchy uzyskać to, co dla nas najcenniejsze i najkonieczniejsze. Powstaje dla rozumu sfera wątpliwości, czy, jeżeli się nam nawet Fortuna chwilowo w całej pełni uśmiechnie, zdołamy ją do naszego rydwanu na stałe przywabić? Czy przyszłość nie wysunie znów naszej najsłabszej strony, naszego nieszczęsnego położenia geograficznego. Czy narody i państwa, żyrujące się dziś jednogłośnie jako przyjaciele, nie zamienią się powtórnie w chór wrogów lub obojętnych?

Wierzmy, że mimo wszystko zdołamy odzyskać naszą nawę państwową i że potrafiemy zabezpieczyć się od ponownego rozbicia, że i Teraźniejszość i Przyszłość unikną błędów przeszłości. Ufajmy, że przebieg zdarzeń szczęśliwych i rozsądek trzeźwy naszych sterników narodowych dadzą maximum pomyślności, jaką w naszych warunkach osiągnąć można. O tak! w to wierzymy usilnie, bo taka wiara jest dla nas w obecnej chwili niezbędna. Sceptycyzm indywidualny zbyt bowiem łatwo tworzy rzekę zgubnego sceptycyzmu narodowego.

Mimo taką wiarę widzi się zawsze na

dnie naszej przyszłości zatrute ziarno tragizmu.

Naród nasz nie zapomni nigdy swej historycznej wielkości, swych minionych dni blasku, chwały, potęgi, świetnych zadań dziejowych.

W następnych chwilach upadku byliśmy wielcy ogromem nieszczęść i walk z nimi.

Doba zaś przyszła może w najlepszym razie przynieść tylko małe państwo, o siłach wątych w stosunku do potężnych sąsiadów.

I wśród małości zbliżającej się ku nieuchronnie my się mamy czuć zadowoleni — my, którzy zawsze byliśmy wielcy? Okropność pojęcia „declassé“ odnosi się nie tylko do jednostek, ale i do ludów.

Między blaskiem dawnym a nikłością nadchodzących dni leży tragicznie — jak w koło — wpleciona wybujałość naszego ducha narodowego, niezrównoważonego do życia tylko zewnętrznymi warunkami. Całość egzystencji polskiej jednak na zawsze prawdopodobnie musi się zredukować do bardzo ciężkiej walki o byt, o samą fizyczną egzystencję, twardą i znojną. Gdy do tego przyłączy się widmo przykrych tarć ze zgrupowaniami narodowo obcego pochodze-

nia, które w przyszłej Polsce bezwarunkowo powstaną, stwierdzić się musi, że przyszłość nie czeka nas uśmiechnięta. A cóż będzie, jeżeli by do smutnej perspektywy miały się przyłączyć tak prawdopodobne kolizje zewnętrzne?

I tak—zdaniem mojem—w najlepszym nawet wypadku nie wesoła nas czeka przyszłość. Cóż będzie, jeżeli nie zdołamy osiągnąć maximum politycznej pomysłowości? Czyż przyjdzie stałe na całą bezkresną przyszłość drżeć o jutro narodowe?

* * *

Ze zdarzeń przeszłości i z faktów do-
by obecnej układu się przyszłość.

Nie zetrze się z naszego narodu piętno najwyższego w dziejach tragizmu narodowego, bo on ma w minionych epokach i w układzie chwili dzisiejszej swoje dziejowe uzasadnienie.

A jednak musimy utrzymać się na fali!

Skąd czerpać sił do walki?

Właśnie ze zrozumienia całego naszego smutnego położenia, z jasnego zdawania sobie sprawy, że gdyby nawet, dzień jutrzejszy naszych pragnień i żądań nie realizował, to tem silniejszy damy odpór, a im tragiczniejsze nasze przeznaczenie, to tem heroiczniej będziemy walczyć.

25 lutego, 1917.

Janusz Samolewicz.

Nostalgja.

Oparty o poręcz mostu, długo stał wpatrzony w spienioną wodę Eisaku. Szum wody ogłuszał go, przytępiał ten nieznośny szum i loskot w głowie, jaki czuł oddawna.

Most był miejscem jego codziennych przechadzek pomimo zleceń lekarzy, którzy uważali oddychanie wilgotnem powietrzem nad wodą za nieodpowiednie dla słabych płuc; było mu jednak wszystko zbyt obojętne, aby się miał do tego stosować.

Smaragdowa woda, strzępami piany białej pokryta, niosła mu dziwny, chłodny spokój, jakiego napróżno szukał tu wszędzie. W niemilknącym ani na chwilę szumie gubił myśl, zatracił świadomość i mógł tak spędzać długie chwile, zanim wreszcie budziło go coś z martwoty.

Na moście, rzuconym przez rzekę zdala od miasta, ruch był mały. Czasem przesunął się przechodzień, zadudnił zrzadka powóz i znów wracała cisza, w której szum wody królował niepodzielnie.

W pewnej chwili stanęła przy nim mała drobna dziewczynka z koszykiem kwiatów w ręce i, wyciągając pęk kluczyków, proponowała ich nabycie. Musiała jednak parę razy to powtórzyć, za-

nim podniósł głowę i zrozumiał, o co chodzi; wziął wtedy machinalnie od sprzedającej garść żółtych wiosennych kwiatów i, rzuciwszy jej pieniądz, spojrzął przed siebie.

Była chwila zachodu. Obojętnym, zmęczonym wzrokiem patrzył na cudną dolinę i rysujący się przed nim w oddali srebrny pas Dolomitów, na których bieli rozigrało się słońce całą potęgą złota i purpury. Krwawy pas obejmował je dołem, przelewając się wyżej w ponsową lunę i kończąc na szczycie różowawym cieniem. Cała dolina gorzała tem światłem — w blaskach zachodu płomieniły się ukwiecone drzewa — białe wiśnie i pachnące słodko migdały — nawet jasne magnolje tchnęły żywszą barwą, nawet piana na zielonych wodach Eisaku zaróżowiła się i migotała tysiącem skier złotych.

Im dłużej patrzył, tem smutniejszy stawał się wzrok, tem większą tęsknotą przepelniony, tą bezgraniczną tęsknotą człowieka, co z za gór, z za mórz chciałby ujrzeć łąn ojczyściej ziemi.

Im dłużej patrzył, im bardziej odczuwał otaczające go piękno, tem większa ogarniała go rozpacz i żal dławiący piersi i smutek bezdenny.

Zbiegł wreszcie z mostu i, przysłoniwszy oczy, począł iść szybko w górę.

Bezwładne myśli tułały się w głowie i obijały

boleśnie o krańce tej wielkiej przestrzeni, jaką czuł pod czaszką. Nie panował nad niemi, więc rozbiegały się dziwnie, przynosząc mu jednak zawsze jakieś tchnienie — stamtąd... z ojczyzny... Zdało mu się na przykład na jakimś skrawku dróżki górskiej, że czuje delikatny, rzeźwiący zapach storczyków leśnych. Przypomniawszy sobie, jak je kiedyś zbierał w senne czerwcowe popołudnia w jakimś lesie ciemnym, suto zielonymi krzewami podszytym. Przezroczyście białe kwiatki o cudnej woni i misternych, przedziwnie wygiętych płatkach.

Później znów ujrzał jasnożółte liście kasztanów, prześwietlone złotem światłem wrześniowego słońca, i postrzępione, purpurą przesiąknięte wachlarze klonu —

Szare płachty rżysk ujrzał i snujące się po nich włókna przędzy pajęczej — i głógów krzewy nad rowami przydrożnymi zawieszzone — i mgły wilgotne nad łąkami — i drogie szerokie — i granatowe linie lasów — — —

— Skiby czarne widział, pługiem zorane i łany zbóż dojrzałych —

Ranki jakieś stawały mu w pamięci chłodne, rosą błyszczące, dni szare, jesienne, rozplakane drobnym deszczem i inne znów — ukwiecone, wiosną różowe i złote od słońca — — zmroki fijołkowe i świty jasne, ciche — i wszystko, wszystko tam, w Polsce.

I przyszła jedna z tych chwil, kiedy ogarniała go bezprzytomna tęsknota za krajem.

W nagłym porywie bólu zgniótł jasne kwiaty, który dotychczas bezwiednie trzymał w ręku i, rzuciwszy je o ziemię, zaniósł się gorzkim płaczem.

Płakał długo beznadziejnie, wiedząc, że nie znajdzie we łzach ukojenia, że mu one nic prócz bólu nowego nie dadzą, płakał skulony w sobie i żalem rozdygotany, płakał, póki łez i sił starczyło, póki nie zamarło w nim wszystko i przyszła znowu cicha bezdźwięczna apatia.

Wówczas martwym krokiem powłókł się do domu.

Jawina Waściszakowska.



MODLITWA WYGNAŃCÓW

Kopja z obrazu Władysława Brecha.

WYGNANIEC.

WSZĘDZIE JUŻ ZGLISZCZA, A JESZCZE GRANATY
GRUZY ZCZERNIAŁE JAK PYŁ ROZBIJAJĄ...
RUSZAJ — ŻE, CHŁOPIE!... IDŹ PRECZ OD SWEJ CHATY!
Z KĄTA WŁASNEGO CIEBIE WYGANIAJĄ!...

.....
KĘDY ROZSTAJNYCH DRÓG SIĘ SCHODZĄ WSTĘGI,
TAM — PRZED OBRAZEM . . . NAJŚWIĘTSZEJ PANNY,
KŁĘCZY KMIEĆ Z DZIATWĄ W ŁACHMANACH Z SIERMIĘGI,
PŁACZE I W NIEBO WZNOŚI WZROK SWÓJ SZKLANY.

— „MATKO NAJŚWIĘTSZA!... RATUJ SWOJE DZIECI!
NIE DAJ IM ZGINĄĆ W DALEKIM WYGNANIU,
POZWÓL IM WYTRWAĆ WŚRÓD BURZ I ZAMIECI“...
DALSZE MU SŁOWA STŁUMIŁY SIĘ W ŁKANIU.

USTA PRZYTULIŁ DO ZIEMI TEJ CZARNEJ
I PRZEŻEGNAWSZY SIĘ POWSTAŁ Z WESTCHNIENIEM.
SPOJRZAŁ RAZ JESZCZE KU ZGLISZCZY CMENTARNEJ,
LECZ JUŻ NIE PŁAKAŁ NAD WIOSKI ZNISZCZENIEM.

NIE!.. JENO Z BÓLU ZACISNAŁ SWE WARGI
I POSZEDŁ Z DZIATWĄ PO ŚWIECIE SIĘ WŁÓCZYĆ...
Z UST JEGO WIĘCEJ NIE USŁYSZYSZ SKARGI:
POSZEDŁ WYGNANY — ALE PRZYSIĄGŁ WRÓCIĆ!...

E. J. Boehm.

Sub tegmine fagi.... lugentis.

Czcigodnej Pani
AMALII DOBRONOKI,
Opiekunce jeńców polskich
poświęcam.

Opromienione blaskiem wypraw krzyżowych, przesycone dymem smolnych stosów kacerskich — niesie nam, zamknięte w pobożnych mnisich psalmach i rozkosznych strofach trubadurowych lutni, średniowiecze, wśród wielu, jeden, pod mieszczańską kapotą wyhodowany zwyczaj odbywania przez dobijającą się wyzwolin na majstrów, rzemieślniczą młodzież — dalekich wędrówek. Każdy młody czeladnik musiał, jeżeli chciał powiększyć grono mistrzów cechowych, przejść kęs świata i w niejednym mieście stanąć u warsztatu pracy, wśród ludzi cudzych i obcych zwyczajów. Te lata wędrówek, tak kolorowo opisane przez weimarskiego księcia poetów, ważniejsze były dla losów średniowiecznego rzemieślnika od znanego „próbne go dzieła“, otwierającego twórcy na oścież cechową furtę. Bo wykonany „majsterstück“ był tylko dowodem zręcznej, rzemieślniczej dłoni, cackiem kun-

sztu i uzdolnienia, gdy lata tułaczey wędrówki, jako szkoła, nietylko ręki, ale i duszy ludzkiej, były przebieżem moralnej tężyzny i charakteru człowieka. Rozumiano, że nic tak nie kształci, jak pobyt i praca na obczyźnie, gdzie prężą się siły ludzkie, wątłe i pozorne marnieją, silne rosną w dwójnasób, a uśpione domową wygodą budzą się i przeszedłszy przez oczyszczający ogień obcej atmosfery, płomienieją do niedawna skrytą iskrą twórczą. To też, gdy rycerz średniowiecza dążył w świat szukać zwady i sławy, szedł syn mieszczański w dalekie strony uczyć się pracy i cnoty. Pierwszy wracał z nadłamaną kopią i więdnącym bluszczem na świetlistym kasku, drugi mistrzem fachu i obywatelem.

Przeżyła też mieszczańska halabarda i kielnia rycerskie ryngrafy, a acz czas, ten wiecznie głodny Saturn, zjadający własne dzieci, zrudził mchem wiekowym kwitnące niegdyś blanki i alkowy miejskie i przyprószył popiołem stuleci cechowe wilkirze, przetrwał zbożny obraz wędrującej czeladzi, mimo zmiennych barw i ram, do dni ostatnich. Zasłużeni około rozwoju Lwowa, wyrosli nie z soli i roli, ale rzemieślniczego potu, których wdzięczni obywatele ozdo-

bili najwyższą godnością, bo złotym łańcuchem głowy miasta, niezapomniani Michalski i Ciuchciński zwykli byli z rozrzewnieniem i chluba, jeszcze z prezydenckiego stolca wspominać o tych latach, które spędzili, jako młodzi adepci młota, wśród obecnej gwary i wciąż nowych twarzy na kilkoletnich zagranicznych wędrownkach.

Kto zwiedzał doki hamburskie, albo port w Bremie, mógł często spotkać w stubarwnej, ogromnej fali ludzkiej szare siermięgi chłopów polskich, pchających się na pomosty okrętów, dążących do amerykańskich brzegów. Pchał ich na drugą półkulę głód ziemi, nie tej, na jakiej mieli lądować, ale tej, którą zostawili za sobą. Amerykański dolar miał im umożliwić kupno bodaj skrawka ziemi ojczystej, miał ich zamienić z bezrolnych helotów w obywateli kmiecich, albo uratować przed subhastą i komornikiem zagon po dziadach odziedziczony. Dlatego liczyli godziny powrotu jeszcze u progów opuszczanej sadyby, roili zarobki, wytyczali w chłopskiej wizji miedze, sypali kopce graniczne, gotowi żyć ochłapem, odrzucanym przez innych pielgrzymów do amerykańskiej Meki, byle tylko co prędzej zobaczyć z powrotem zosta-

wiony krzyż wioskowy i objąć miłosnym wzrokiem nierozłączną już skibę ziemi. Dziwni, nowocześni Jazonowie w sukmanach, moszczący złotem runem amerykańskim strzępki ugorów i nieużytków, przeliczający korce błyszczących dolarów na piaszczyste ziarnka rodzinnej ziemi.

Wielu z nich pochłonęły czarne czeluście amerykańskich kopalń, porwały na sztuki warczące koła dyszących maszyn, ukąsiło na śmierć żelazne żądło korb i walców olbrzymów fabrycznych. A choć raziło ich skwarne słońce amerykańskiej dżungli, truł osad gazów podziemnych, były w nich, niby gromy, elektryczne prądy rozigranych, stalowych motorów — szli oni nieprzerwanie, nieopiewani przez wajdelotów, cisi, codzienni bohaterowie na ofiarny stos dla ojcowizny, a przez nią i ojczyzny. Była to nietylko emigracya chłopska, ukazana nam ze sceny przez Anczyca, notowana skwapliwie przez kompanie przewozowe i agentów parcelacyjnych, była to masowa nobilitacja chłopca polskiego, jednostkowo zapoczątkowana przez Stefana Bato-rego pod Wielkimi Łukami i Tadeusza Kościuszkę na polach Raclawic.

Nie brak nam na tułacznych drogach,

wytyczonych umazanym w soplach krwi szalejącej wojny bułatem, prometejskich larek, skrytych pod fartuchem wędrującego czeladnika, czy siermięgą kupującego amerykańską sziffskartę oracza. Wyziera z szorstkiej dłoni cały dekalog prawd, których motki ustawicznie winniśmy odwijać, by nie zabłądzić w labiryntach, w jakie nas wtrąca coraz dalej i głębiej przeżywana chwila.

Nie wolno nam drogi tułaczkiej uważać za szlak cierpień tylko i czas nasz doń przykuty przeżywać w martwocie istot, zapadających na zimowy letarg z nadzieją obudzenia się dopiero na wiosenny powiew i balsamiczną ruń majowych dni. Nie wolno nam kołysać udręczonych dusz myślą o połowicznej wegetacji, w której zwiśa bez czucia i czynu ramię męskie, butwieją duchowe przesła intelektualnych sił człowieczych, omdlewają serca, karleją charaktery, te raz burzą złamane, najtrudniej na nowo pnące się ku słońcu rośliny w światowym ogrójcu.

Na smutnych, przebradzanych ścierniskach nietylko nam klecić cygańskie szatry dla przytulenia głowy, ale rozpałać ogniska zbiorowego czynu, o iskrach nie ze szczętem z dalszą naszą marszrutą, gasnących i stla-

łych. Drogę naszą, jak długą by ona nie była, niech znaczy nietylko skrzyp podróżnej telegi, ale dźwięk młotów, bijących o taflę pracowitych kowadeł i turkot wrzeccion, zostawionych za sobą. Od owoców tej pracy ważniejszym będzie jej wysiłek, bo, gdy pierwsze nasycą nasze ciało w przemijających dniach głodu, nie pozwoli drugi na zabójczy rozkład naszej energii i tężyzny. W ten sposób zdała, będziemy jednak pracowali dla ojczyzny, bo zabezpieczymy jej powrót zdrowych dusz, żeby i w ciałach, steranych tułaczką, schłostanych biczem niewygody i niedostatku.

Ojczyzna... jakżeż dźwięcznie brzmi to słowo po wybojach tułaczkiej drogi, budząc całą skalę tęsknot, całą tęczę wspomnień w duszy, co radaby łcieić za zórawim korowodem do słonecznego kraju bzów i jaśminów, wonniejszych od gajów pomarańczowych, zlocących się pod baldachimem obcego nieba. Tu dopiero, pod śnieżystą okiścią biegnących wzdłuż charkowskich przedmieści lasów, rozumiemy Odysa modlącego się, by mógł ujrzeć bodaj zdaleka dym ojczystej Itaki, nadsluchującego wśród ciszy akermańskich stepów głosu z Litwy Mickiewicza, smucącego się Słowackiego na

widok bocianów, ciągnących od polskich ugorów.

Trupią głowę na okłażinach własnych dziejów kładzie naród, który zatracił ojczyste granice. Nie obaliło huraganowe „Hannibal ante portas“ kolumn Kapitolu, bo wraz z marmurowym głazem wspierały cnotliwe serca miłujących gród ojczysty obywatele widomy symbol potęgi i chwały starożytnej Romy, ale wstrząsnęła dumną wobec zwycięskiego miecza najeźdźcy budową domowa śpiewka rzymska „ubi patria, ubi bene“, roztrącająca ojczyste kopce i miedze.

Nawet dla ziemi obiecanej nie wolno rzucać bezkarnie ojczystego domu niewoli. Żydzi, odbiegłszy z nałogu bezpowrotnie żalobnych szczątków płonącej Jerozolimy, żyją dotąd Ahaswerowym bólem, mimo miecza Judyty i harfy Dawidowej, szukając daremnie, u wciąż rosnącej lawiny garnionego złota, rozkoszy, zdolnej zastąpić błogie ciepło rodzinnego ogniska na własnej ziemi.

I dlatego niech nikt, przez Boga, — gdy wybiję godzina powrotu — nie zgrzeszy nawet myślą pozostania, chociażby obce krosno fortuny niewiedzieć jak piękne i bogate snuło dlań przedziwo. Zwłaszcza, że tyłu już nie wróci... Ale tych tłumaczy

krzyż przydrożny, biała brzoza płacząca, zielona gałązka nieśmiałej kosodrzewiny, trzymająca jedyną straż miłosną nad mogiłą, nie tu śnioną, ilekroć „memento mori“ kierowało myśl naszą ku chwili, w której przyjdzie oddać śmiertelne szczątki cmentarnej ciszy i ciemni grobowej.

Wracając, pamiętajmy, że wichura, która nami przestała targać, nie łkała tylko żalonym psalmem ponurych dni, spędzonych w męce wygnania i zmagania się o napełnienie podróźnej sakwy wygnańczym chlebem na najbliższe godziny, liczone wśród postoi na cudzych zegarach. Jak burza oczyszcza powietrze i krasi, mimo wstrząśnień i miotanych kirów, jeszcze przejrzystą gazą obłoków niebieski firmament, tak i wygnańcza doła, spadła na krocie i tysiące z krwawego ramienia wojny, oczyściła nasz organizm z wielu miazmatów i czerwów, toczących w kraju codziennie nasze siły i zasoby dóbr narodowych. Wygnanie nauczyło nas, że lukulusowe kwiczoły i szampańska marka na zamożnym stole, a kufa wody ognistej u zydła biedaka, szeleszczące rajery i lśniące selskiny, totalizator i powłóczysty uśmiech malowanej hurysy — to nietylko, że nie treść

sztuki życia, ale nawet nie jej dekoracya. Zostawmy przywary te głęboko zakopane w ziemi naszego wygnania, a wrócimy w domowe oplotki, mimo wystrzępionej odzieży, z wozem bogato naładowanym. Nie znaczy to, byśmy mieli przekształcić nasze domy w indyjskie pagody udręki, lub pobić klepką Dyogenesowej beczki, — idzie jedynie o nałożenie zdrowego hamulca wydatkom, a im głębiej zasunie się oszczędzone grosiwo do skarbonki, tem jaśniej zapłonie na ołtarzu narodowego bogactwa.

Ale przedewszystkiem budźmy i krzepmy solidarność i filantropię, my, z pośród których tyłu tym właśnie cnotom zawdzięcza swoje ocalenie. Pamiętajmy, że i u domowych progów są tułacze, tem tragiczniejsi właśnie, potrzebujący, jak ptactwo zimowego ziarna, pomocnej dłoni, czy dobrego słowa, za które płaci czasami Ojciec niebieski pociech zdrojem, a sumienie zawsze zadowoleniem wewnętrznem spleconego długu wobec wydziedziczonych z dostatku życia, czy równowagi ducha.

Nil desperandum... Przyszło nam żyć i działać, cierpieć i umierać w trybach wielkiego dziejowego kołowrotu, porwanego

w nieznane dotąd, rozszalałe wiry o oślepiającym, błyskawicowym blasku. Ale równocześnie poczynają się już rozlegać hejnały, dotąd niegrane, na przesłonięty oparami krwi i dymów horyzont rzucają pierwsze swoje promienie słoneczne tarcze o niewidzianych jeszcze gloryach tęczywych. Na dziejowem poboju coraz potężniej tryumfuje Winkelridowa włócznia wolności ludów, Deus vincit... Uśmiecha się do nas geniusz prawdy odwiecznej ze sfer ideału, na szalę historii świata padają złote kule praw nieprzedawnionych.

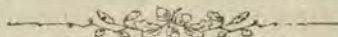
Niejeden z nas mógł słyszeć, układając rozmarzoną głowę do snu na tatrzańskie turni, oświeconej blaskiem góralskiego ogniska, ludową klechdę, chętnie opowiadaną przez zakopiańskich przewodników, o dobroczynnych duchach, kujących pod skalnymi złomami Giewontu, nową — w miejsce utraconej — polską koronę. Legenda głosi, że królewski dyadem już dawno jest gotów, brakuje doń jeszcze tylko wciąż jednego kamienia... Tę bajkową ostatnią perłę do korony niesie nam przeżywana chwila, a niesie na falach krwi, lejącej się potokiem wezbranym, na dymnych skrzydłach, ciągnących od pól marsowych, na

śmiertelnym skurczu przestających bić serc milionowych. Ale obóz wojenny tylko granice państwowe wytycza, gabinet dyplomatów bliżej określa, umacnia je i utrwala miłość i praca obywateli.

Zamało będzie, jeżeli do wspólnego budulca rzucimy same uwędłe liście, zebrane u drzew naszej wygnańczej Golgoty,

a nie dodamy laurowego ziela krzewów żywych, strzeżonych w latach tułaczego włodarstwa. Tylko bowiem żywym płodem będzie można bezpiecznie ogrodzić wskrzeszone polskie rubieże.

D-r Alfred Brandowski.



Glupi Marcin z pode Lwowa.

(Obrazek charkowski — z pamiętnika).

Było to latem 1916 r. Którejś niedzieli pojechałem wraz z przyjacielem zwiedzać Kolonie Komitetu Lwowskiego, położone niedaleko Charkowa i przeznaczone dla wygnańców—galicyan. W jednej z Kolonii, obchodząc zabudowania wiejskie i oglądając wszelkie urządzenia, zwróciłem uwagę na stojącego w głębi ogrodu niepozornego człowieka, który już zdala przyglądał się nam z wielkim zaciekawieniem. Gdyśmy, t. j. ja, mój przyjaciel i oprowadzający nas prezes gminy mijali ową osobistość, skłoniła nam się ona bardzo uprzejmie i wyrzekła chłopskie pozdrowienie. W całej postaci, a zwłaszcza w ubiorze, było coś zaciekawiającego: wzrok dobrotliwy, chociaż bęzmyślny nieco, spojrzenie apatyczne, skierowane stale w jeden punkt, ubranie dziwaczne, ni chłopskie, ni miejskie, za wstążkę kapelusza wetknięte pióro kurze, cała postać jakoś wielce pokraczna, stanowiąca doskonały materiał na pośmiewisko dla dzieci wiejskich.

Z ust przewodniczącego usłyszałem hi-

storyę tego człowieka, która zaprawdę była tak tragiczna, że wyrósł mi on w oczach na jedną z najbardziej godnych współczucia ofiar wojny, na jeden z symbolów cichego męczeństwa za winy niepopołnione.

Ma na imię Marcin i jest rodem z pode Lwowa, gdzie gospodarował na niewielkim kawałku ziemi. Wiódł cichy, beztroski żywot kmiecia. Z żoną i dzieciakami od rana pracował w polu, pod wieczór w kręgu kopczącej lampy zasiadał do wieczerzy, potem wysiadywał na przyźbie, aż wreszcie układał się wraz z rodziną do snu. Życie upływało jednostajnie, skreślając niepostrzeżenie przemijające dni spokojnego bytu. Przyszła wielka wojna, wstrząsnęła światem, Europą, Polską, wstrząsnęła i wioską Marcina. Uchodzące wojska austriackie, wstąpienie rosyjskich i odwrót tychże — wraz z towarzyszącymi objawami grozy wojennej — były to emocje, które zważyły odporność nerwową Marcina. Wreszcie grom ostatni uderzył w serce chłopskie: ustępujące wojska kazały mu opuścić dom, zostawić żonę i syna maleńkiego, i podążać natychmiast za armią. Patrząc na zgliszcza swej chaty, z rozdartem

sercem o los najbliższych — w popłochu uciekać musiał ze swej rodzinnej wsi

Ciężka i długa była podróż Marcina. Wynędziały drogą, głodem, troskami, śpiący na dworcach w cuchnących poczekalniach dla „bieżeńców“, na tapczanach, pod brudnymi ławkami — jechał długo wojenną „ciepluszką“ w stronę nieznanego Charkowa, spoczywając w jakimś kącie dusznego wagonu. W ciągu podróży zaciął się Marcin w milczeniu bezwzględnie.

I była chwila, że się tak zwarł ze swoim bólem i tak mocować począł, iż zerwać się chciał i krzyżeć i pomstować na krzywdę, na nędzę, na poniewierkę — lecz po tej walce wewnętrznej ogarnął go jakiś spokój, po kościach przeszło jakieś obezwładniające ciepło i zasnął twardym, kamiennym snem. Gdy się nazajutrz obudził, było mu już jakoś wesoło na duszy, spokojnie, i przez maleńkie, okratowane okienko zaczął wodzić oczyma po rażnie migających łąkach, lasach, zarysach gór jakichś i miast.

Po przyjeździe do Charkowa umieszczono Marcina — wraz z partją galicyjan — w jednej z gmin Komitetu Lwowskiego. Spoztreżono tu, że wskutek prze-

żytych nieszczęść i ciosów jest on w stadyum lekkiego melancholizującego obłędu. Zrana pomaga w kuchni, obiera kartofle, nosi wodę, rąbie drzewo i t. d., a po skończonej robocie chodzi cały dzień smutny, zamyślony, milczący. W ciągu lata codziennie nad wieczorem wychodził w pole, a przysłoniwszy ręką oczy, w cichej i długiej kontemplacji, z wolna przesuwiał wzrok po łanach, wpatrywał się w bujne kłosa zboża i dumał, dumał.

Wtedy myśl, na chwilę ocknięta z chorobliwego letargu, wżerała się w obrazy ubiegłych, szczęśliwych dni, minionej pracy na roli u siebie, w Galicyi.

Po tych samotnych przechadzkach miał Marcin wzrok jakiś dziki, nienawistny, do nikogo nie odzywał się ani słowem w ciągu kilku godzin, dopiero wieczorem następowało stadyum zwykłego stopienia. Skoczna kołomyjka, nucona półgłosem z uporczywą monotonią, pochłaniała go już całkowicie. A jednak i w nocy myśl tego nieszczęśliwego człowieka błądzi około ojczyzny. Są to chwile, kiedy budzi się w niej jakaś świadomość swego położenia, niejasna i dziwaczna, a jednak bardzo głęboka. Współlokatorzy Marcina opowiadają,

że co parę dni budzi się on śród nocy, zapala świecę i ubiera się z pewnym nerwowym pośpiechem. Na pytanie towarzyszy, co to ma znaczyć, odpowiada — swym lwowskim, pocztliwym akcentem — stereotypowo z pewnym zakłopotaniem:

— Ta ubieram się, ta może będzie można już do Polski jechać —

Te proste słowa, w które biedny półwaryat zakuwa troskę czy zdoła w czas nadażyć do kraju, mają w sobie tragizm bezmierny i cichy.

Chory, biedny, zmęczony mózg zachowuje niezmiennie obraz ubiegłych chwil, nurza się z lubością we wspomnieniach.

Gdyśmy właśnie siedzieli na ganku, spożywając podwieczorek, nieopodal werrandy stanął Marcin i znowu spoglądał na mnie i na mego przyjaciela z tem samem

zaciekawieniem, z jakim witał nas przy pierwszym spotkaniu w ogrodzie. Wreszcie, nie mogąc snadź dłużej wytrzymać, podsunął się pod sam ganek i poprosił pana przewodniczącego na chwilę rozmowy. Gdy prezes, schodząc ze schodów, zbliżał się do Marcina, do uszu naszych dobiegło nieśmiałe pytanie:

„Czy to te panowie z Polski? Ta może możnaby się z nimi już zabrać? — —

Gdy nad ranem wracałem nocnym pociągiem do Charkowa, — kiwając się w takt monotonnego stukotania wagonu — uparcie prześladowała mnie myśl, że o tej porze właśnie biedny, głupi Marcin zapewne pośpiesznie wybiera się w drogę do Polski.

Eugeniusz Swierczewski.

ŁABĘDZIE.

W pewnej okolicy był bardzo piękny pałac, dalej park i w głębi parku, otoczony zielenią drzew, głównie wierzb płaczących, wielki, głęboki, czarny staw, cichy i spokojny a głęboki, jak sen uczciwego człowieka.

Nad stawem pięknie odbijały od zieleni drzew ustawione wśród aksamitu murawy białe posągi, jak gdyby wychodzące z pod gęstych warkoczów wierzb. Na wyspie w środku stawu, również wierzbami zarosłej, widać było posągi dwóch nagich gladiatorów, marmurowo-białych, czającym się krokiem idących ku sobie z mieczami w rękach, złotemi, jak promienie słoneczne. Głowy swe osłaniali owi gladiatorzy złotemi powężami, które świeciły zdala, jak dwa jasne dukaty i zuchwale odrzucały w lasur niebieski promień słońca, jak gdyby gardząc w pysze ślepej ich skrzącą świetnością. I ci gladiatorowie groźni godzili tak na siebie z orężem w dłoni i w czas cichego, złotego południa i w czas rozmarzonej, srebrem księżycy spowitej północy. Lecz wówczas miecze ich były ukute ze srebra a i tarcze srebrzystą jasnością zawodziły z tarczą pełnego księżycy.

Dokoła owej wyspy, popod zwisającymi gęsto nad wodą zielonemi warkoczami wierzb płaczących,

plywały dwa wielkie, ciche, białe łabędzie, nieme, a jednak kształtem skrzydeł przypominające jakoby białe harfy lub liry pływające. Ów czarny, zielenią otulony, cichy staw w głębi parku był ich królestwem. Zadumane i milczące kołysały się na sennie wodzie, pływające posągi w czas błękitnego dnia, srebrne widma ciche w noc księżycową, ciągnące za sobą po wodzie migocące sieci i bruzdy. Czasami wychodziły na wyspę u środka stawu, wolnym, niezgrabnym krokiem podążały na jej najwyższy punkt i tam, trzepocąc czasem wielkimi, białymi skrzydłami i wyciągając swe szyje giętkie i białe, jak ramiona kobiet, w zadumie patrzyły w głąb parku, gdzie w przecięciu szmaragdowo-opalowych perspektyw widać było piękny, biały pałac z dwoma czarnymi wieżami, z kształtu do młodych świerków podobnemi, a które rzucały w zieloną ciszę parku srebrne dźwięki, śpiewające kwiaty milczenia — konające z śpiewnem westchnieniem godziny.

Łabędzie owe królowały na stawie i choć żadnego z nich nikt nie miał pożytku, rozumiał każdy, iż bez nich staw stałby się martwym, sennym grobem, pełnym nieżywej wody — a w tajemne godziny nie miałyby się komu zwierzać ze swych dum białe posągi nadbrzeżne, ni gladiatorzy nie mieliby komu śpiewać swych dzikich pieśni wojowniczych — a zgoła nie wiadomo, czy łabędzie,

trzepocąc na wzgórku, na wyspie, białemi skrzydłami, nie dawały jakichś tajemnych znaków komuś, kto ku stawowi patrzył z rubinowego od słońca okna, czerwoną iskrą świecącego w rozplywającej się w złotawo-błękitną światłość szmaragdowej perspektywie długiej strzyżonej alei. Białe, milczące ptaki były jak gdyby dziwną, nieodgadnioną duszą stawu, wierzb płaczących i marmurowych posągów, były jak gdyby zakłętymi w kształt żywy lecz mniej nieokreślonymi myślami czy uczuciami, jakie się w tym cichym zakątku rodziły, były pięknem, które żyje dlatego, iż jest piękne i więcej nie potrzeba. Nikt nigdy nie pytał, co te łabędzie myślą i jak dzień spędzają, co jest ich pracą a co odpoczynkiem — jednakże wszyscy na ich widok czuli, że żyją one własnem, nieodgadnionem a milczącym życiem, które tak związane jest z cichym urokiem i poezją parku, jak ze strunami lutni związane są rodzące się z niej akordy.

Do spraw ludzkich owe łabędzie nie mieszały się najzupełniej. Jak nikt nie starał się odgadnąć ich życia, tak nigdy one nie opuszczały swego królestwa i nie zdarzyło się, aby je kto widział poza cichym czarnym stawem, jego zielonemi brzegami i małą wysepką. Nigdy nie odważyły się te ciche, dumne ptaki na to, aby szeroką aleją, po wygrzanem słońcem piasku, podejść bliżej do pałacu, którego białe mury wśród drzew zdaleka im

przyświecały. Nigdy się nie zdarzyło, aby je zważyły niezliczone krzewy różane, jak wielkie bukiety, jak płomieniste, wonne wodotryski, jak gorejące aromatem i czerwienią płomienie tryskające z ziemi. Grzędy tulipanów, raszące blaskami, niby zamienione w żar tlejący warstwy kamieni kosztownych, daremnie promieniowały z siebie grającą blaskami tęczę. Świecące jak rozplamione gwiazdy, srebrne lilje, nadaremnie wyginały się w powietrzu, jak czarowne berła, dobrowolnie podające się rękom zdziwionych bohaterów. Fioletowe bukiety bzu naprzód kryły w swych gąszczach co najtęższych śpiewaków ze słowiczej gromady, ani też lży brylantowe granitowej fontanny nie znechęły oddalonych ptaków swą perlisną litanją — czarny, jedwabiście połyskujący przestwór wód w szarozielonem obramowaniu, rysująca się lekko na błękitnem tle nieba biała, obłamana arkada mostu, białe posągi, złote pawęże zapaśników i szerokie, płaskie, szarzielone liście wodnych kwiatów, to był świat łabędzi, które poza nim nie uznawały żadnych cudów, ani płomieniejących kwiatów, ani żarzących się w powietrzu iskrami motyli, ani tęczy wodotrysku, ani wspaniałości strzyżonych szpalerów i cienistych altanek. Tylko kiedy czasami wieczorem, gdy słońce kołysząc się na gałęziach drzew, zsuwało się z wolna na ziemię, a z białego pałacu donosiły się długie, napęczniałe zaświatową tęsknotą, drżące

dźwięki kobiecego głosu, zaś zmrok chwycił za kolana przygasające, jak słupy białego światła, posągi wśród drzew nadbrzeżnych, łabędzie podpływały z cicha ku brzegowi i wyszedłszy na wilgotną murawę, stały długo nieruchome, jak gdyby bratniej słuchały pieśni. I może być, że to tam gdzieś śpiewał i tęsknił łabędź za grzechy jakieś zaklęty w człowieka i teraz rozsrebrzonym przez ból i tęsknotę głosem błagający o balsam ciszy i spokój cichych wód, odzwierciedlających niezmierną a niewypowiedzianą spokojną głęb niebieskiego lazuru. Ale w pałacu łabędzia nie było a tylko czasem w strzyżonej alei pojawiała się drobna, biała, smutna młoda pani z wielkimi tęskniącymi oczami i ogromnymi rumieńcami, palącymi się niezdrowym blaskiem na chudych policzkach. Może była nieszczęśliwa — lecz cóż łabędziom jest do spraw człowieczych? One kochają swój czarny staw, szelst wierzb płaczących, ciche przygasanie białych posągów i ciszę parku.

A naraz, pewnej ciemnej, tajemniczej nocy, kiedy cały świat zdawał się być pogrążonym w jakimś skostniałym rozpamiętywaniu gasnących już wspomnień i gdy tylko żaby, nawołując się jękliwym i strwożonym kumkaniem, przestrzegały, iż w cichych ciemnościach dzieje się coś nieodgadnionego, i gdy łabędzie snuły się po wodzie, jak dwie zucone na falę liry widmowe, powietrze martwe

ożyło — aby jęknąć z cicha przerażeniem, pełnym trwogi słowem. Co to było — nie odgadły ani łabędzie, ani zastygłe w białej swej upiorności posągi marmurowe, ani drzewa nadbrzeżne, a tylko szum się jakiś wśród nich uczynił przerażony, zaś pawęże gladiatorów drgnęły i rzuciły w ciemność groźne, blade blaski. I drzenie to i szum trwogi i kołysanie się powietrza niespokojne i pełne złych przeczuć falowanie wody od tej chwili już nie ustało, lecz trwało wciąż, jak gdyby ziemia zachorowała i jak gdyby niebo zachorowało i jak gdyby na świat padła jakaś gorączka i dreszcze. To zmierkowały pierwsze łabędzie, które były nieme, lecz których słuch był w ciągłym naprężeniu, łakomy dźwięków, jak skrzypce grające jeno wewnętrznie a złem słowem oniemione. Ten niepokój przynosiły ptakom białym fale powietrza, ale zwiastowały im je też i lekkie drgnienia wody w stawie, którego powierzchnia zwierciadlana pokrywała się teraz ledwo dostrzegalną mgłą, jak gdyby szatan chuchnął w zwierciadło stawu i swem zatrutem tchnieniem skażił jego pierwotnie niezmaconą czystość.

I ten dreszcz trwożny trwał i dzień i noc i wzmagał się wciąż, zaś ptaki, lecące ze wschodu krzyczały znajomym w konarach wierzb płaczących,, iż ku zachodowi ciągnie jakaś chmura ogniowa a z ziemi wstają olbrzymi, czarni rycerze, sięgający łową niebiosów, przypadający do ziemi i znów

zrywający się z niej, a z ust ich lecą płomienie i gromowe ryki. I że ta chmura wypędza wszelkie ptactwo, ponieważ na skrzydłach swych niesie niewidziane dotąd ptactwo stalowe, krzyczące zemstą i śmiercią a rozkwitające jak pękające gwiazdy w rój białych pszczoł, niosących zagładę. I że ziemia rzuca ku niebu wyziewy krwi a śmiercionośna chmura zapala lasy, które płoną płomieniem jasnym i huczącym wesoło, zaś w dymach potwory jakieś się pojawiają, szarańcze olbrzymie, miotające na ziemię kał, z którego buchają ognie i żary. I zaniepokoiło się ptactwo, mieszkające w gałęziach pokornych drzew płaczących, a po jakimś czasie opuściło swe ciepłe gniazda i znikło w przestworzu niebieskim.

Opustoszał park i zmartwił w ciszy, której już nic nie mąciło. Ale łabędzie nieme i majestatyczne, niespokojnie krążyły po czarnej wodzie, a dreszcz, od którego dygotało powietrze, wzmagał się wciąż. Aż wreszcie zagrało coś w oddali, głośno, ciągle—jak gdyby to jakieś serce olbrzymie biło, jak gdyby czekały potworne psy żelazne, jak gdyby wyły organy śmierci. I huczące jakieś wycie szło ziemią, która drgnęła i zaczęła drżeć i tak drżała już nieustannie. Wyły psy daleko, szeroko, wyły i czekały — i w tem ich wyciu trwogę czuć było niewypowiedzianą, a żaby rechotały przez całą noc.

Łabędzie dzień i noc krążyły po stawie, nieme, uważne, zatrwożone. I pewnej księżycowej nocy, kiedy niezliczone roje gwiazd trzęsły się na firmamencie a w dali wyły gromy, ujrzały białe ptaki, jak tarcza, zawieszona na marmurowem ramieniu jednego z gladiatorów, drgnęła, zgrzytnęła żałośnie, błysnęła srebrem w powietrzu i padła w ciemną wodę, rzuciwszy na brzeg garść brylantowych kropel. Łabędzie — stróże księżycowej ciszy — niezwłocznie popłynęły na to miejsce, lecz nie ujrzały nic więcej, jak tylko wielki srebrny krąg, świecący na dnie stawu między żabowiną — zaś szermierz z gołą podniesioną nad głową lewicą, bezbronny już i wydany na pastwę promieni, po raz pierwszy od urodzenia spojrzął w twarz księżycowi, ale śnać oślepił od blasku, bo powieki spuścił i patrzył tak pustemi, niewidzącemi oczodołami.

Był to znak niebios — lub tylko przypadek? Łabędzie opłynęły całe swe wodne królestwo, ale płynęły smutne, bo zdawało im się, jak gdyby straciły obrońcę. Już ich teraz ten szermierz puklerzem swoim złotym nie osłoni...

A następnej nocy stał się cud — niewidzialna jakaś ręka ubrała ciemne niebo na wschodzie w festony błękitnych spadających gwiazd. Leciały gwiazdy w niebo, ciągnąc za sobą smugę białego światła, pękały na wysokościach, rozsypywały się w pył błękitny i znowu je ktoś u ziemi chwycił

i zlepiął w całość i rzucał w czarne niebo. Zarazem powietrze grało jednym wielkim grzmotem, który i śmiał się i groził i warczał i śpiewał a czasem takt wybijał, jak olbrzymi jakiś młot. Co to za kuźnia była taka wielka i straszna, taka szumna i iskry z kowadła aż pod niebo rzucająca. Jaki to kowal bił tym wielkim młotem i jakąż sobie dziwną śpiewał pieśń?

To w kuźni śmierci pracował bez wytchnienia los.

A jego pieśń -- to była stara pieśń ognia, z której rodzą się światy.

A potem dnia jednego pojawiły się na niebie żelazne szarańcze -- i nagle gaje parku, strzyżone szpalery, wspaniałe klomby drzew napelniły się nieopisanym hukiem, białym dymem i jadowitą wonią. Łabędzie przerażone umknęły pod zasłone zwisających gałęzi wierzb, a kiedy się wychyliły z pod nich, szarańcze były już daleko, lecz długie, białawe pasma dymu chwiały się w powietrzu, przesłaniając szarym welonem niebo turkusowe i pełne łśnień słonecznych. Leżały połamane drzewa, a w dali widać było dym -- to stanęły w płomieniach gęsto rosnące czarne tuje na wielkim trawniku i paliły się teraz żółtym, cichym płomieniem, trzaskając jeno zcicha czasami.

I przyszły gorsze chwile, ale łabędzie nie chowały się już pod osłonę gałęzi wierzbowych, je-

no spokojne, z niezmaconą powagą, krążyły po swym czarnym stawie, jak gdyby czując, iż nadeszła chwila, która stanowić ma o ich życiu i panowaniu a tedy przyjąć ją trzeba na stanowisku i z podniesioną głową.

Zawyło, zawarczało w powietrzu żelazne ptactwo i z murawy zaczęli się zrywać straszni, czarni wojownicy. Z łona ziemi wyskakiwały słupy czarne, sięgające wysoko w niebo ponad drzewa, a potem deszcz piasku i żelaza spadał na murawę. Grzędy kwiatowe, przed chwilą jeszcze niby pasy, utkane z tęczy, rosy migotliwej i różowych uśmiechów poranka, zmieniły się w poryte, czarnemi dotkami zięjące skiby, z rozbitego puharu fontanny wyciekła woda i łez perlanych zabrakło. Z trzaskiem zaczęły padać w wodę białe posągi.

Zaś łabędzie, jak dwie starodawne białe nawy, piękne i wspaniałe, wśród huku i grzmotu, wśród syku płomieni krążyły wciąż po czarnej wodzie, spokojne i ciche, z głowami podniesionymi wysoko na giętkich, białych sztykach.

Coś strasznego, nieznanego, z głośnym rykiem zerwało się z nieba i wpadło w czarną tonń stawu, wyrzucając wysoki słup wody. Rozwarły się tonie i ku niebu frunęło błoto a dno czarne i bagniste spojrzało prosto w twarz słońcu.

I naraz jak z pod ziemi zjawili się ludzie -- a powietrze napelniło się hukiem, dymem, płomie-

niami i krzykiem. Klębiło się coś w parku, ludzie padali okrwawieni, niektórzy skakali w wodę i zanurzeni w niej po szyję, strzelali — i coraz nowi ludzie się pojawiali, czarni, pokrwawieni, obszarpani i stary park zmienił się w piekło, cuchnące ogniem i krwią.

Na powierzchni stawu, napół zanurzone w wodzie, kołysały się okrwawione trupy.

Aż zcichło wszystko, odeszli ludzie, coraz dalej trzaskały strzały, coraz słabiej wyły organy śmierci i cisza zwisała nad czarnym stawem, po którym wciąż powoli, trzymając się razem, pływały białe łabędzie.

Ani śmiercionośne ptactwo żelazne, ani czarne olbrzymy, głową sięgające nieba, ani deszcz ołowiany, od którego aż szumiała powierzchnia stawu, ani okrwawieni ludzie z oczami wytrzeszczonymi dziko nie zrobili im nic, choć noże ich opływały krwią.

Zapadał wieczór—i błądy księżyc wychylił się z poza połamanych, osmalonych klombów drzew.

I wówczas nad stawem pojawił się chłopak, którego łabędzie nieraz widywały oprowadzającego po alei konie zdyszane. I ten chłopak bułką przywabił ptaki ku sobie a w prawej ręce trzymał pentlę, na którą złapał oba łabędzie i zdusił je, i wciągnawszy je na brzeg, z brzydkim uśmiechem zaczął macać ręką pierze na piersiach ptaków — albowiem on nienawdził je zato, że były piękne i służyły ku ozdobie. I dlatego korzystając z zamieszania przyszedł tu nasycić swe uczucie zemsty, albowiem źli ludzie mszczą się na życiu za jego piękno.

A tacy ludzie są gorsi niż wojna.

Jerzy Bandrowski.

Szlakiem jutra.

Na polach walki grzmia działa, świszczą pociski — śmierć ma obfite żniwo: to rzeczywistość. Pola usłane podartemi istnieniami ludzkimi, siedziby ludzkie — wsie i miasta — w gruzach lub popalone — oto rezultaty tego żywiołu, który szaleje, ściśnięty dwoma linjami okopów. Przebyta droga tego ognistego węża, to pasmo smutku, zniszczenia i ruiny. Rzeczywistość budzi grozę w najobojętniejszym umyśle.

Ale jeszcze pola dymią krwią i pożogą, kiedy ludzkość odzyskując równowagę ducha i budząc się z odrętwienia, w które zapadła w chwili pierwszego huku armat, zwraca się ku przyszłości. Jak gdyby życie nowe rodzi się z milionów śmierci, jeszcze popioły nie ostygły, a już powstaje nowe ognisko, niby z iskry pod popiołami tlejącej.

Nikt inny, tylko my Polacy złożyliśmy najwięcej na ołtarzu boga wojny: złożyliśmy w ofierze kraj cały, najazdem nieprzyjaciela ogarnięty; rozszarpano mienie polskie, sięgnięto po życia ludzkie, biorąc niby ze skarbnicy, której wyczerpać nie sposób, bo

Polska to trakt, do którego rzekomo każdemu wstęp dozwolony. Polska...

Zrujnowaną i zniszczoną, ogłodzoną i wyczerpaną odbudować należy. Im więcej strat poniosła, im srożej zastępy nieprzyjacielskie wyzyskały jej potencjalne zasoby, tym świetniejszą, w purpurę królewską odziana, winna wstać, bo Polska nie upada.

Za sprawą prusaka złamano nas, karmiąc się sokami miodopłynnej krainy, ale oto nadchodzi moment dziejowy, wymarzony w snach i marzeniach najczystszych, kiedy Polska odzyskuje przyznanie praw do niezależnego istnienia. Amerykanin, świadom praw boskich i ludzkich, nie waha się wspomnieć imię Polski, gdy idzie o sprawiedliwość... Imię Polski, jak niegdyś świetne i nieskalane, w blaskach i sławie wielkiej zajaśnieje znowu, gdyż jak mówi poeta „Bóg był i jest“.

Zniszczoną materialnie, nieorganizowaną pod względem produkcji i zbytu, należy odbudować, zapewniając jej sprawność życiową. O tem myśleć należy nam, znajdującym się po tej stronie kordonu, bo w kraju dawno już to czynią. Szlakiem jutra winna iść myśl nasza, aby choć ce-

giełką niewielką przyczynić się do restauracji Polski. Sił nigdy nie mieliśmy za dużo. Część sił wyjechała z kraju, wiele — stale zamieszkuje na obczyźnie. To, co te siły naukowe i fachowe, rozproszone po terytorjum Rosji, zrobić dla kraju mogą zaraz, od dziś, nie będzie zbytecznym lub niewdzięcznym przyjętem. Ogromne pole do pracy mają ekonomiści polscy, gdyż właściwie rzeczy biorąc, zapewne niewiele państw europejskich znajdzie się takich, któreby tak mało, niewyczerpująco, niedokładnie były zbadane i poznane jak Polska. Rolnictwo, przemysł, handel — pojmowane w sensie założeń i celowości ekonomicznych, są materją prawie zgoła dziewiczą w nauce polskiej. Wielką pracę mają przed sobą już dziś technicy polscy, mający formalnie, z drzewa i cegły, odbudować Polskę. Gdzie mamy polskie wydawnictwa techniczne, ściśle i popularne, któreby nauczyły inżyniera i rzemieślnika — jak budować należy? Architekci polscy winni współdziałać technicznej odbudowie kraju przez napisanie programów odbudowy i cyklu fachowych podręczników.

A polskie finanse, prawo, statystyka? Budzące się do życia Polsce, której

Nemezys dziejowa sprawiła długi letarg, winni przyjść z pomocą wielcy i mali. Myśl nasza ze snów różowych i ekstazy romantycznej ma zejść na ziemię i w ziemskich sprawach uczestniczyć. O tem należy pamiętać.

Weźmy dla przykładu rolnictwo.

Od czasów, kiedy Polska była śpichlerzem Europy, ubiegło sporo czasu i dużo się zmieniło pod każdym względem, a zwłaszcza w dziedzinie produkcji rolniczej. Prostota budowy ekonomicznej owych czasów ustąpiła wielce skomplikowanemu mechanizmowi czasów nowożytnych, kiedy właśnie od rolnictwa konjunktury ekonomiczne zażądały niezwykłej sprawności, wiedzy naukowej i techniki. „Pszczołka, kłaczką i pszenica“ nie jest już niezawodną receptą przeciw bankructwu szlachcica, ponieważ nie dość produkować i produkować dobrze czyli ekonomicznie, trzeba stworzyć warunki zewnętrzne dla produkcji, dać miejsce produkcji krajowej w konstellacji ogólno-światowych stosunków produkcji i zbytu, znać własne zapotrzebowanie i stopień możliwości wyzyskania warunków przyrodzonych kraju, umieć ustosunkować swoje siły wytwórcze względem najbliższych sąsiadów, z których

ci i owi nadzwyczaj bogato zostali wyposażeni od matki-ziemi. Zadań państwa polskiego odnośnie własnej wytwórczości rolnej nie sposób określić kilku ogólnymi słowami, należy dobrze wniknąć w psychologię rolniczą choćby tylko krajów Europy, nie mówiąc o Ameryce, która nie drzemie, posuwając się na drodze postępu rolniczego kolosalnymi krokami.

Wojna obecna, zresztą jak każda wojna, była próbą prężności życiowej wielu narodów i pól ich działalności. Zmagają się nie tylko ludzie z ludźmi, działa z działami, przemysł z przemysłem, handel z handlem, ale zмага się również rolnictwo z rolnictwem. Wojna obecna dowiodła, że rolnictwo dla państwa posiada pewne absolutne znaczenie, warunek istnienia. Jeżeli Niemcy nie zginęli głodową śmiercią w r. 1915-tym, to tylko dzięki szczęśliwej okoliczności istnienia w psychologii krajów neutralnych uczucia humanitarności i względów magnetyzmu dobrego interesu. Podobno tonący doskonale widzi stan faktyczny istniejącej chwili i przeżytych momentów, nie wątpię, że Niemcy doskonale zrozumieli w krytycznej chwili doniosłość pewnego minimum produkcji rolnej, które jest

niezbędne dla samostarczalności państwa. Niemcy zdaje się są w tym położeniu, że bez zaborów terytorjalnych ziem średniego stopnia intensywności produkcji rolnej—nie będą w stanie stworzyć całokształtowego mechanizmu w zakresie produkcji żywnościowej. Niebezpieczeństwo dla Polski ze strony piaszczystej Brandenburgji niewątpliwie istnieje na podłożu głodu ziemi jako siedliska produkcji.

Polska, odcięta od morza, ściśnięta w klamry żelaznych uścisków sąsiedzkich, winna wznieść produkcję rolną na poziom samostarczalności dla państwa. Przykładów nie trzeba będzie szukać, gdyż genjusz państwowy narodów europejskich zwróci się do rolnictwa już nie tylko jako do sfery zastosowania mniej lub więcej korzystnie kapitału, lecz jako do problemu obrony narodowej. W szeregu innych środków zapewne przypomną sobie prawo Malthusa, stosując się do konsekwencji płynących z niego. Jeszcze nie ucichły surmy bojowe, a nawet, kto wie, może nie nadszedł jeszcze moment kulminacyjny wojny, a już Anglja zapewne nieco ze ściśnięciem sercem estety i nemroda na miejscu wspańniętych parków i hultajskich odłogów puszcza

plug oracza, by przysporzyć uszczuplonych łanów rolnych. Umysł brytańczyka w huku armat i świcie granatów zrozumiał i ocenił krytyczną doniosłość krajowego rolnictwa.

Rolnictwo polskie — to jeden z atutów naszej obrony narodowej; winniśmy pamiętać, że krom kultu atawistycznego dla pluga i folwarku, musimy z tego pluga zrobić oręż niezależności narodowej, a do tego trzeba dużo i dużo pracy.

Myśl rolnicza ma swoje świetne stronice w historii życia ostatnich lat Królestwa Polskiego; w tej dziedzinie szereg nazwisk zapisało się złotemi głoskami; nie wszędzie jednakże dotarła szlachetna inicjatywa jednostek i społeczeństwa, naprzykład: przymusowo zapuszczoną niwą jest teoria ekonomji rolnej w Królestwie, t. j. ten dział nauki, który w przyszłości odegra pierwszo-

rzędną rolę w rozwoju naszej produkcji rolnej. W wolnej i niepodległej Polsce nie będzie tych pęt, jakie stary rząd rosyjski nakładał na społeczeństwo i naukę polską.

Witając nową erę polityczną w kraju, gdzie obecnie jesteśmy gośćmi, nie należy wahać się przed wzmożoną pracą nad odbudową zjednoczonego Królestwa Polskiego; naród rosyjski, odzyskujący wolność, uszanuje podjętą w tym kierunku inicjatywę. Myśl każdego Polaka winna iść szlakiem jutra, naród nasz narówni z innymi zмага się w bezprzykładnej, tytanicznej walce o wolność i niepodległość, o kraj, który choć zniszczony i zdeorganizowany 100-letnią katogą, musi naszą pracą dzwignąć się i stanąć do niezależnego życia w dawnej chwale i blasku. Pamiętajmy o tem na obczyźnie.

Leon Waściszakowski.

MATKO!

(Z cyklu: „Listy z wygnania”).

Wtedy była wiosna... pamiętasz Mamo?

Pamiętasz on dzień, kiedym po raz pierwszy opuszczał nasze rodzinne gniazdo — by do niego nie wiem kiedy powrócić?...

Zmrok cichy, wiosenny zdawał się nieść w opalowej czarze gasnących blasków usypiający haszysz czerwonych maków; jakieś wyolbrzymione, mistyczne ogrody słały nam swoją kwietną woń, przez w pół otwarte drzwi balkonu.

Przedzgonne fioleły nieba zdawały się ożywiać zakłętę w cudowną oprawę weneckich witraży kolorowe postacie i przyzywać je na drugą stronę styksowej fali.

W smętnych rozbłyskach lampki oliwnej majaczyły na ścianie dwie kopie obrazów Tycjana: „Chrystus cierpiący“ i „Mater Dolorosa“.

Tyś siedziała, Mamo — ukrywszy swą biedną, zmęczoną twarz w dłoniach...

I milczeliśmy długo oboje...

Serca biły mocno — ale nie nasze... tylko spizowych dzwonów, na pożarną twogę!

Marmurowe kolumny zapomnienia, jakby ożywione ręką nieznanego czarodzieja — nabierały ruchu.

Z każdego zakątka pokoju wychodziły ku nam przyczajone postacie lęku...

A my milczeliśmy z nadmiaru bólu! —

A Wielki Ból i Wielka Miłość wznoszą nas do wyżyn boskości!...

Pamiętam: chłopięciem jeszcze byłem... Śpiewałaś mi raz piosnkę dziwną o zakłętej królowie, gnomach, błędnych rycerzach w lśniących, złotych zbrojach, o szklanej górze, kryształowych pałacach, dyamentowych rosach...

Grałaś mi cuda na złotych harfach marzenia, a ja słuchałem pień Twoich, jako poszumu lekkiego zefiru.

W ten smutny wieczór rozstania, poprosiłem Cię, byś mi raz jeszcze zanuciła melodyę mych snów dziecięcych...

I po raz ostatni przeszedł wtedy przedemną czas życia w całym swym tęczywym przepychu.

Ja marzyłem — Ty śpiewałaś w bohaterskim wysiłku, dopóki kaskada łez serdecznych, a czystszych nad porankową rosę, nie przerwała pieśni, której echowe

akordy zdawał się biały anioł nawiązywać na srebrzyste pęki strun harfianych, witających u rajskich wrzeczędzy pozłociste smugi zórz tęczyowych, kruszących ogniem brylantowych rac gradową chmurę.

Dzisiaj senna jesień.. słońce zachodzi... drzewa umierają bez słowa skargi — w takim bohaterskim milczeniu, jak Ty, Matko, milczałaś wtedy...

Melancholia złota jesieni oplotła mą duszę, snując pajęczą nić zapomnienia...

I niby ostatni błysk zachodzącego słońca, widzisz mi się Ty, Mamo; wspomina

mi się Twoja Pieśń czarowna i ten Twój ostatni szloch...

— — — Nie — Mamo!... Wtedy nie trzeba było płakać...

Ta Twoja natchniona złuda, którą mi śpiewałaś nad kołyską, w niejedną niespaną noc — jest dla mnie skarbem w chwili wygnania!

A że pałace kryształowe, zaklęta królewna i rycerze w pozłocistych zbroicach, zniknęły, jak bańki mydlane — to wina życia! —

Jerzy Rychter.

Nad wielką sofą w mojej pracowni,
gdzie żona z synkiem co wieczór siada,
wisi na ścianie stary, szczerniały
portret pradziada.

Ramy złocone wiekiem spleśniały,
z obrazu widna jeno twarz blada,
co zda się mówić — ilekroć patrzę
w portret pradziada.

I nic w pamięci mojej nie zatrze
tego obrazu —: żony twarz śniada,
obok twarzyczka synka, — a w górze
portret pradziada...

Nadciągnęły wichry, dziejowe burze,
wygnany z domu — pod straż sąsiada

oddatem, razem z sercu drogimi,
portret pradziada...

Jakimi drogi, szlaki jakimi
przyjdzie mi błądzić o gorzkim chlebie —
zawsze tęsknotą wrócę do ciebie,
mojej pracowni Ciszo jedyna!

Duch mój się tobie z też wyśpowiada,
a ty, gdy przyjdzie szara godzina,
gdy przed pracownią rozkwitną róże,
gdy żona z synkiem w progu usiedzie —
mów im, żem widział zawsze i wszędzie
ten jeden obraz —: żony twarz śniada,
obok twarzyczka synka — a w górze
portret pradziada...

Józef Karbowski.

Znaczenie Konstytucji 3 Maja wobec chwili dzisiejszej.

Historia est magistra vitae.

Sto dwadzieścia sześć lat upływa od chwili, gdy naród polski, przeżarty zgnilizną epoki saskiej, ogłupiany przez duchownych wychowawców, w których ręce oddał zarówno swoje sumienie, jak i wychowanie swojej młodzieży, omotany w sieci zewnętrznej intrygi i wewnętrznej zdrady — przebudził się nagle z dwuwiekowego blisko snu, przejrzał i zobaczył, że stoi nad brzegiem przepaści, jeszcze chwila, a runie w otchłań unicestwienia, przestanie żyć samodzielnem życiem, stanie się materiałem budulcowym dla obcych kultur, mierzwą, dla użyczenia obcego życia narodowego.

I wówczas ten naród, okrzyczany przez wrogów i obojętnych widzów za doszczętnie zgangrenowany, pozbawiony wszelkich sił żywotnych, poczuł gwałtowną wolę do życia, do życia samodzielnego, poczuł, że dość ma jeszcze do niego sił, że ma do niego prawo nieodwołalne i niezaprzeczone, postanowił zedrzeć z siebie „tę płachtę

ohydną, tę Dejaniry palącą koszulę“ — przeszłość dwuwiekową i wyjść na drogę nowego życia.

Zadanie było nadzwyczaj trudne. Jest stałą tragedją w życiu narodów, że za winy występnych lub lekkomyślnych przodków, żyjących w warunkach lepszych i dlatego wykluczających lub przynajmniej utrudniających zrozumienie swoich czynów i ich skutków, których przewidzieć nie umieją — pokutują następcy, którym niestety zorjentować się w sytuacji aż nazbyt łatwo — odczuwają jej dolegliwość bezpośrednio na sobie. W tym położeniu znalazło się pokolenie stanisławowskie, odczuwające od najmłodszych lat żelazną obręcz, od początku XVIII wieku coraz silniej i silniej zaciskającą się na szyi Rzeczypospolitej. Czuło ono, że brakuje już tchu, że ojczyzna przeżywa tą przełomową chwilę, kiedy musi się za jakąkolwiek cenę ocalić swoje istnienie, lub choćby, jeżeli już jest zapóźno, to przynajmniej, co ocalić zawsze jeszcze można — to jest honor i nadzieję lepszej przyszłości, która nie opuści pokoleń następnych w czasie najcięższych przejść i rozbić, pozwoli przetrwać klęski, choćby najsrozsze i będzie talizmanem,

chroniącym od rozkładu leżącą w letargu ojczyznę. I pokolenie stanisławowskie, ostatnie pokolenie niepodległej Polski zdobyło się na ten czyn, przekazało przyszłym pokoleniom, „zrodzonym w niewoli, okutym w powiciu“ — swój testament, świadectwo sił żywotnych, tkwiących w narodzie i zadatek lepszej przyszłości--konstytucję trzeciego maja.

Wielka ta reforma przyszła do skutku już po pierwszym rozbiorze, w czasie gdy niezależność państwowa była tylko cieniem; poza granicami kraju znalazła się już połowa Małopolski, starą stolicę Kraków rzeka tylko dzieliła od sąsiadki, utracone było Pomorze, Gdańsk, Rzeczypospolita straciła dostęp do Bałtyku, jedynej możliwej drogi handlowej na rynki światowe, przeciętą była główna arterja komunikacyjna, tętnica życia ekonomicznego — Wisła. Pozostał w naszym ręku Gdańsk, ale jedyna droga z niego do Warszawy wiodła przez kraj sąsiada, byłego lennika Polski, który odciąwszy nas od morza, wyciągał nigdy nie syte cudzego dobra szpony po kolebkę narodu — po Wielkopolskę. Nie wystąpił on wówczas z odkrytą przyłbicą, zaborcze plany przysłonił, jak to czynił tylo-

krotnie przedtem, później, w stosunku do nas i innych, maską serdecznej przyjaźni, „pancerna pięść“ przyobleczona była w aksamitną rękawiczkę. Reprezentantem jego w Warszawie był układny dyplomata, pierwszorzędny intrygant, świetny znawca nie tylko ludzi, ale i słabości ludzkich — Lucchesini.

Jeśli przodkowie nasi, kosztem ciężkich doświadczeń, zdołali zdobyć świadomość wad i usterek w organizacji wewnętrznej i ustroju państwa, nie posiadali jednak zgoła wyrobienia i doświadczenia w dziedzinie polityki zagranicznej. Było to naturalnem następstwem samego ustroju politycznego Polski. Obywatel Rzeczypospolitej szlacheckiej, uczestniczący w sejmach, sejmikach i elekcjach, orjentował się łatwo w polityce wewnętrznej swojego kraju. Długie lata przeszkadzał świadomości potrzeby reformy zaśniedziały konserwatyzm i płytkość umysłowa dzieci jezuickiego wychowania, jako też wybujała na gruncie oligarchji samowola i prywata. Kiedy jednak zrodzone we Francji promienie oświecenia przedarły gruby mrok pokrywający duchy, kiedy zrodziła się świadomość, że jest źle, zrozumiano natychmiast, na czem to zło

polega i jakie są środki zaradcze. Różnica zdań mogła być tylko co do tempa reform, ale nie co do ich kierunku: *ład, praworządność, siła zbrojna, niezależność* od obcych i *demokratyzacja*—oto hasła, jakie przenikały wszystkich, co czuli po polsku, wszystkich co mieli poczucie odpowiedzialności wobec współczesnych i potomnych, wszystkich od króla do Wojciecha Turskiego; poza tym obozem pozostały jedynie upiory dawnej Polski: znaczna niestety ilość ludzi służących interesom obcym za korzyści osobiste, lub jednostki prawe ale niepoczytalne, jak Suchorzewski (na szczęście bardzo nieliczne).

O ile jednak twórcy Konstytucji Staszyc, Kołłątaj i obaj Potoccy (Stanisław i Ignacy) zdołali odrobić, przynajmniej prawnie, w niespełna 4 lata błędy lat dwustu i uczynić bądź co bądź bardzo zasadnicze zmiany w ustroju (kasacja wolnej elekcji i liberum veto, rząd reprezentacyjny w miejsce reprezentantów sejmików, dopuszczenie mieszczan do sejmu) przystępnymi dla wychowanej w atmosferze saskiej epoki masy szlacheckiej, co wymagało nie lada zręczności politycznej, nie mogli okazać tyle przenikliwości w polityce zagranicznej, w tej

chwili z reformą wewnętrzną nierozdzielnie związanej. W tym kierunku szlachta polska nie mogła posiadać żadnego wykszolenia. Uniemożliwiał je sam ustrój chaotyczny—republikański, nieusuwalność i faktyczna nieodpowiedzialność kanclerzy, nieszczęśliwy pomysł *czterech* równocześnie ministrów spraw zagranicznych (dwóch kanclerzy i dwóch podkanclerzy) i zasada przeprowadzania wszelkich układów dyplomatycznych przez wielogłowy sejm, co z góry wykluczało utrzymanie zarówno tajemnicy, jak i ciągłości w polityce, nawet gdyby się nie był wkraśl zwyczaj orjentowania się wedle interesów i intencji obcych i gdyby poziom umysłowy sejmów polskich utrzymał się na wyżynie złotych czasów Zygmunta Augusta. W tych warunkach nie dziw, że patryjotyczna większość sejmowa dała się wziąć na lep zwodniczym obietnicom rządu berlińskiego i na tak kruchej podstawie oparła międzynarodową pozycję kraju. Trafniej oceniał sytuację bez porównania lepiej od teoretyków politycznych sejmu w praktycznej pracy dyplomatycznej wyszkolony Stanisław August, ale brak powagi moralnej i siły charakteru uniemożliwiał mu w rozstrzygającym momencie ujęcie w swoje ręce kie-

rownictwa. Rezultaty straszliwego błędu nie dały na siebie czekać: podpis sojuszu polsko-pruskiego stał się podpisem wyroku śmierci na całe dzieło reformy i równocześnie na ten cień niezależności, który Polsce jeszcze pozostawał. Rząd berliński doprowadziwszy do zerwania Polski z Rosją, natychmiast porozumiał się z tą ostatnią co do drugiego rozbioru i Konstytucja 3 Maja upadła, nim zdołała choćby częściowo wejść w życie.

Pozostaje pytanie, dlaczego pamięć tego aktu politycznego jest tak drogą sercu każdego Polaka, mimo, że pozytywnych rezultatów nie dał żadnych? Zdaje mi się, że odpowiedzi na to pytanie szukać musimy nie w dziedzinie zimnego rozumowania, ale w dziedzinie uczucia. Jeśli przejdziemy myślą przebieg długiego łańcucha sejmów XVII i XVIII wieku, w których jedyną sprawą, która kogokolwiek żywo interesuje, jest obsada wakansów, sejmów pełnych rozwydrzonego krzykactwa i prywaty, które po długich i jałowych debatach *de lana caprina* kończą się stale prawie „vetem“ jakiegoś warchoła, często w głębi duszy poczciwego, nie mającego najmniejszego nawet przeczucia straszliwej zbrodni, którą w tej chwili po-

pełnia wobec ojczyzny, paralizując jej organ prawodawczy—i zestawimy ten obraz z ostatnim wielkim sejmem polskim, z jego namiętnymi ale podniosłymi i rzeczowymi rozprawami, z głęboką wiarą i bezinteresowną, płomienną miłością kraju, która rozpala tych kilkuset obradujących posłów, namaszczonego kapłanów przyszłości, pełnych poczucia odpowiedzialności za swoje dzieło i kurczowo chwytających się ostatniego dźbła nadziei, gorączkowo szukających wyjścia ze straszliwego położenia, w które rzuciła kraj lekko-myślność tylu poprzednich pokoleń — nie możemy oprzeć się uczuciu wzruszenia. Do pracy wielkiego sejmu nie może żaden nieobojętny na sprawy swego narodu Polak przystąpić z zimnym skalpelem analizy historycznej. Stąd ten pozorny brak obiektywizmu w ocenie pracy sejmu czteroletniego, który tak często cechuje opracowania tej właśnie epoki.

Nicią przewodnią działalności mężów 1788 — 91 roku było hasło „Mierz siły na zamiary, nie zamiar wedle sił“ i hasło to ma prawo do bezwzględnego uszanowania z powodu swojej wysokiej etycznej wartości. Konstytucję 3 Maja czcimy nie tyle jako doskonale dzieło rozumu politycznego, ale

jako wielki akt ekspiacji szlacheckiej Rzeczypospolitej, na schyłku swego istnienia poświęcającej interesowi wyższemu, interesowi narodu, wszystko co od wieków przywykła czcić jako swoje bożyszczą, z czem zżyła się i z czem jej było tak wygodnie. Prawda, reformy konstytucji były zbyt połowiczne. aby mogły za jednym zamachem dźwignąć państwo z otchłani na szczyt potęgi, jak to uczyniły z współczesną jej Francją prace Zgromadzenia narodowego i Konwentu — nie zapominajmy jednak, że tam mamy do czynienia z gigantycznym wysiłkiem całego 24-milionowego narodu, z olbrzymim przewrotem zdołu, tutaj z reformą dokonywaną wyłącznie przez część bardzo nielicznej stosunkowo warstwy panującej, która działa *dobrowolnie*, masa ludowa w Polsce znajduje się wówczas nietylko poza wszelką działalnością, ale wręcz poza świadomością narodową i nie wywiera najmniejszego nacisku, najmniejszego wpływu na życie szczytu gmachu państwowego. I z chlubą podnieść możemy, że nigdy jak daleko sięgają dzieje warstwa panująca na tak wielką ofiarę z siebie dla dobra państwa nie zdobyła się, jak to uczynili wielcy działacze ginącej Rzeczypospolitej.

Skłońmy więc głowy przed ich wielkim etycznym czynem i dziś, kiedy wśród szczęku oręża zdaje się świtać nam jutrzienka nowego życia, pamięć twórców konstytucji niech będzie nam drogowskazem, jak należy kochać ojczyznę i na jakiej moralnej stanąwszy wyżynie, życiem narodowym kierować należy.

Zestawiając stan społeczeństwa z epoki Sejmu czteroletniego z obecnym dojdź musimy do bardzo pocieszających wniosków. Mimo stu lat obcego panowania zdołaliśmy pozyskać dla życia narodowego całość narodu i wyrobiliśmy się politycznie. Dziś z szlachetnego zapалу patryjotycznego nie może już przeciwnik ukuć broni przeciwko nam samym, rok 1916 pokazał żeśmy niczego nie zapomnieli i dużo się nauczyli i kiedy Lucchesini II—Beseler przybył w nasze progi po stu dwudziestu latach z tą samą syrenią pieśnią na ustach co ongiś, odzew nasz był innym niż przed laty: „Kulturalny, dwudziestomiljonowy naród, twórca wysokiej kultury i bujnego umysłowego i materialnego życia nie będzie kozłem ofiarnym „*pour le roi de Prusse*“. My nie Turcy ni Bułgarzy. Jesteśmy gotowi do ofiar, ale tylko dla nas. Błędy działaczy

XVIII wieku, wynik szlachetności, która nie przypuszcza zdrady w wyciągniętej do przyjaźni ręce, choćby ona należała do tego, czyj najżywotniejszy interes leży w naszym unicestwieniu — stały się ceną skarbnicą doświadczenia dla prawników i korzystamy dziś z nich równie obficie, jak z zasług Sejmu, z demokratyzacji Polski, pod którą kamień węgielny on położył i z poczucia,

że o ile nie mamy przeszkód zewnętrznych, zdołamy zdziałać wiele, bardzo wiele w pracy kulturalnej, państwowej i gospodarczej, że potrafimy urządzić sobie nasz dom tak, że nie powstydzimy się go i przed narodami, które rozwijały się w bezporównaniu łatwiejszych od nas warunkach.

Awic.

MODLITWA

Z LERMONTOWA.

BRONISŁAWIE OSTROWSKIEJ

W HOLDZIE.

GDY W CIĘŻKIEJ ŻYCIA CHWILI
ROZPACZ W MEM SERCU ŁKA,
PEWNA MODLITWĘ CUDNĄ
POWTARZA PAMIĘĆ MA.

JEST MOC BŁOGOSŁAWIONA
W HARMONII ŻYWYCH SŁÓW,
ŚWIĘTYM UROKIEM ONA
TCHNIE — NIEPOJĘTA, Z SNÓW...

I Z SERCA BÓL SIĘ STOCZY,
ZWĄTPNIENIE PIERZCHNIE W DAL,
I ŁZAMI ZAJDĄ OCZY
I WIARA ZGŁUSZY ŻAL.

Przełożył

Eugeniusz Świerczewski.

W Kirgiskich stepach.

W ponury zimowy wieczór nad małą tatarską wioską rozszalała się straszliwa zamieć.

Nizkie chaty, jakgdyby zgarbiwszy się pod ciężarem spadającego śniegu, prawie zupełnie zniknęły wśród zasp, i tylko gdzieś niedziedzie wydzierające się z ich krzywych okienek słabe promyki światła wskazywały, że pod temi pagórkami kryją się zamieszkałe przez ludzi lepianki.

Po pewnym czasie jednak światełka te pogasły.

Z jednej tylko chaty nie przestały się wysnuwać przez okno blade-żółtawe pasma, rozpraszające się wśród gęstych płatów śniegu.

W chacie tej, jak prawie i we wszystkich pozostałych, oprócz gospodarzy zamieszkiwało także kilku wygnańców, którzy na początku światowej wojny rzucili losy w te stepy.

Między nimi znajdował się Karol Karren, młody, dość zdolny literat, który, przebywając na wygnaniu, przez długi czas nie ulegał ogarniającej innych rozpacz, a pod-

trzymywał w nich nadzieję rychłego powrotu do kraju.

Karrena lubiano powszechnie.

Jego współlokatorzy, Kotulski, Garliński i Braun, z zachwytem czytawali przepełnione gorącym patriotyzmem utwory tego wygnańca-poety i wróżyli mu przyszłość w kraju.

On sam nigdy nie pragnął karyery, lecz myślał jedynie o tem, z jakim zapałem będzie kiedyś pracować w oswobodzonej ojczyźnie.

Ciągle myślał o kraju, ciągle marzył o powrocie.

Jednak nie było mu przeznaczonem doczekać tej chwili.

Przeziębwszy się, zachorował na suchoty, które nader szybko wyczerpały jego siły.

Zwalczony okrutną chorobą, biedny wygnaniec dogorywał na obczyźnie cicho, bez skargi, wciąż marząc jeno o kraju.

Nić jego życia coraz prędzej się wysnuwała, aż wreszcie w tą ciemną mroźną noc nadszedł jej koniec.

Wiatr wył przeciągle, szarpał wściekle słomianą strzechą chaty i świstał dyabelsko w kominie.

W brudnej, zakopconej izdebce, w której leżał chory, panowała głęboka cisza.

Karren, ciężko dysząc, dzień cały przeleżał prawie bez przytomności, od czasu do czasu tylko wypowiadając szeptem jakieś niezrozumiałe słowa.

Widząc jego stan, wszyscy trzej towarzysze już cały wieczór przy nim czuwali.

Karol otworzył oczy, rozejrzał się powoli po izbie i wyszeptał:

— „Kto to śpiewa“?...

Kotulski westchnął i spojrzawszy na Brauna, odpowiedział:

— „To — wiatr“...

— „Wiatr... nie .. nie wiatr... ja znam tę melodyę, gdzieś ją słyszałem“...

Wszyscy się uciszyli, on zaś ciągnął dalej:

— „O, Boże, jak ciężko oddech... ale ten śpiew, ten śpiew... o matko droga! to twój głos... mateczko... ja pamiętam tę kołysankę... tak... tyś mnie tą piosenką usypiała... mamó, ja spać nie mogę... tak ciężko“...

Westchnął tak głęboko i boleśnie, że wszyscy zadrżeli; Kotulskiemu stanęły w oczach łzy.

·Karren poruszył głową.

— „Pić“...

Braun, uniósłszy cokolwiek jego głowę, dał mu się napić mleka, poczem ułożył ostrożnie na poduszce.

Chory nawpół przytomnie począł mówić:

— „Dzisiaj święto... u nas, tam w kraju—Gromnicznej... o, żebym ja miał gromnicę... słyszycie?... kroki... ktoś idzie... to po mnie... idę już, idę... bądź zdrowa, Jadzuniu... ja wrócę... och, wojna... krew... pożoga... Boże, zmiłuj się“...

Kotulski płakał; Braun słuchając chorego, obcierał tylko od czasu do czasu załzawione oczy i wzdychał.

Karol wpatrzywszy się uporczywie szeroko rozwartemi oczyma w górę, szeptał:

— „Co to?... wszędzie trupy... gruzy... krew i łzy... wypędzają, palą... Boże, ratuj Polskę... o, Tyś miłościw... o, widzę, widzę... wśród pożogi, morza łez i krwi... powstaje hen Zorza...

Och, ciężko!... żegnajcie moi druhowie... Jak tu duszno...

Jadziu... żegnaj!.. już nie wrócę... Bracia! Do mnie“...

Powstrzymując łkanie, pochylili się nad nim.

Karren z przerwami mówił dalej:

— „Bracia... Wy wróćcie... a ja tu—
zostanę...

Śnieg... pustka...

Was czeka Ojczyzna“...

Odetchnąwszy głęboko, zaczerpnął po-
wietrza.

— „Powiedźcie... tam — w kraju, że
my... cośmy tu umierali... jeno o nich my-
śleliśmy .. przy skonaniu... Powiedźcie...

Och, duszno!.. Już nie mogę.. żegnaj-
cie... Ojczyzno moja... Święta męczennico—
żegnaj... już cię nie zobaczę“...

Uniósł na chwilę głowę, z ostatnim
wysiłkiem krzyknął:

— „O, Polsko“!... i opadł na poduszkę.

Braun, z trudem powstrzymujący się
dotychczas od płaczu, rzucił się na kolana
i rozpaczliwie zawołał:

— „Karolu“!..

Lecz odpowiedzi już nie usłyszał.

Na pożółkłym, pomarszczonym czole
młodzieńca śmierć naznaczyła już swą bez-
liotną ręką odejście tego jasnego ducha.

Kotulski ukląkł i głęboko szlochając,
razem z Garlińskim począł się modlić pół-
głosem:

— „Za duszę świętej pamięci Karola...
Zdrowaś, Marya, łaskiś pełna“...

Za chwilę słychać było w izbie tylko
szepet modlitwy, płynący z trojga boleśnie
drgających ust, i ciche łkania.

Następnego dnia przynieśli dużą, bia-
łą, zbitą z nieheblowanych desek trumnę
i złożyli w niej swego towarzysza do wiecz-
nego spoczynku.

Gdy się rozeszła wśród wygnańców
wieść o śmierci Karrena, co chwila ktoś
przychodził pożegnać się z nim po raz
ostatni.

Wreszcie nadszedł czas pogrzebu.

Wzięli tę skromną trumnę na ramiona
i ponieśli ją o kilka wiorst poza wioskę,
gdzie wśród śnieżnych zasp czekał już na
nią wykopany przez kolegów zmarłego grób.

Po drodze zaintonowano, „Salve Re-
gina“...

Kiedy ten cały orszak, składający się
z nieszczęśliwych wygnańców, zatrzymał
się nad grobem, wzruszenie wszystkim
zamknęło usta.

Jeden tylko Braun potrafił się prze-
módz, aby choć kilkoma słowami pożegnać
swego druha.

Patrząc pełnemi łez oczyma na nie-
kształtną, krzywą trumnę, rzekł:

— „Bracia!.. Tak oto odchodzi od nas—współtowarzysz naszej niedoli...

Lecz my wierzymy, że Bóg, który widział jego życie, który znał jego serce, który wiedział, jak on gorąco i szczerze kochał umiłowaną ojczyznę, że ten Bóg—wynagrodzi mu swą łaską jego cierpienia.

Żegnaj nam, kolego!..

W imieniu tych wszystkich, co tam, w kraju pozostali, o których ty tak pamiętałeś, składamy na twojej mogile ten wieniec...

Śpij tu, w tych stepach, bracie drogi—my cię nie zapomnimy“!..

Trumnę spuszczone do dołu, i, gdy już ostatnie bryły ziemi rzucono na mogiłę, Braun złożył na niej wieniec, spleciony z gałęzi jodły.

Na nieskończonym, jaskrawie białym dywanie śniegów szarą plamą odbijała się tylko świeża mogiła i garść skulonych, nieruchomo klęczących dokoła niej ludzi.

Konające kędyś na zachodzie słońce, brocząc we krwi, rzuciło w tę stronę ostatnie promienie.

Kiedy, powstawszy ledwie z klęczek, otaczający mogiłę ludzie poczęli się od niej oddalać, jak potężny szum fal wezbranej rzeki, popłynęła hen, ku niebiosom majestatycznie, pełna serdecznego bólu i ufności, pieśń:

„Boże, coś Polskę“...

Rozbudzone ze snu stopy z zapartym oddechem przysłuchiwały się tej nieznanej im dotąd melodyi.

Ciekawie słuchały i dziwiły się, bo zrozumieć nie mogły.

A pieśń płynęła...

I tylko wiatr podchwytywał jej słowa, powtarzając je o setki wiorst dalej Uralu górcom i starym omszałym lasom.

Słońce jeszcze raz uniosło swą skrwa-wioną głowę i rzuciło purpurę na szare łachmany wlokących się ku wiosce nędzarzy, otaczając promienną aureolą ich niknące wśród zasp sylwety.

E. J. Boehm.

W NOC CUDU...

DOBREMU GENIUSZOWI MOJEGO ŻYCIA —
OJCU MEMU POŚWIĘCAM.

W ZADUSZNA, CIEMNA, CICHĄ NOC POLECEŃ
POŚRÓD WIDMOWE BRATNICH MOGIŁ KRZYŻE —
Z TLEJĄCYCH GROMNIC WIELKI OGIEŃ WZNIECĘ
I PIORUNAMI CMENTARZE ROZŚWIECĘ...

POTEM W POŻARU ZŁOCISTEJ POŚWIACIE
KRZYKIEM ROZPACZY BIAŁE ZAKLNĘ DUCHY,
WSZYSTKIE ZAZIEMSKIE PRZYWOŁAM POSTACIE,
BY WZIEŁY UDZIAŁ W TEJ DZIWNEJ OBJACIE;

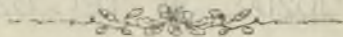
GŁOWĘ POSYPIĘ POPIÓLAMI TRUMNY
I CZASZKĘ TRUPIĄ W DRŻĄCE CHWYCĘ DŁONIE
I MIĘDZY LUDZI STRASZNY PÓJDE — DUMNY,
PÓŁ OBLĄKANY, NA POŁY ROZUMNY.

CZASZKĘ IM TRUPIĄ RZUCĘ POPOD NOGI,
PRZEKLEŃSTWO W OCZY — I POPIÓŁ NA GŁOWY...
NA MARMUROWE WEJDĘ ŚWIĄTYŃ PROGI
BURZYĆ PRZESADY I KAMIENNE BOGI...

ZAKLNĘ LUD SŁOWEM, PIORUNEM WYMOWY,
ZAKLNĘ SPOJRZENIA MEGO BŁYSKAWICĄ —
STANĘ, JAK DEMON, JAK KRÓL JAKIŚ NOWY —
I TAK ZASTYGNĘ WIELKI, PIORUNOWY!!!

A BYLE JEDNĄ, JEDNĄ CHOCIAŻ DUSZĘ
WZBIĆ NA WYŻYNY, DO BOGA, KU SŁOŃCU —
ZIEMIĘ, ŚWIAT CAŁY Z POSADY PORUSZĘ,
PRZEJDĘ ACHERON — I ZWYCIĘŻYĆ MUSZĘ!

Jerzy Rychter.



Klawiatura śmierci.

(ETIUDA)

Młody John Shipshanks, porucznik pułku Ghurków, był jednym z tych nielicznych Anglików, którzy we własnym kraju uważani są za muzykalnych. Grał na fortepianie dość słabo i na okarynie—biegle ale fałszywie. Ale z powodu tego muzycznego swego uzdolnienia, bardzo lubiał „pracować“ przy karabinie maszynowym.

Ten piękny instrument, nazywany przez młodego oficera „fletem Nr I“, ukryty był i opancerzony w tym odcinku tak doskonale, że Turcy w żaden sposób wymacać go nie mogli. Nieraz z przejętą od Niemców systematyczną cierpliwością kuli i kuli pociskami cały szaniec, ryli metr po metrze, i po gwałtownej kanonadzie, kiedy z odcinka Johna Shipshanksa leciały wióry, drzazgi i słupy ziemi, wysyłali ku niemu na próbę kilkudziesięciu piechurów—ale choć szaniec skopany był należycie, choć na milczenie skazane zostały inne „flety“, które nikomu nic nie zawiąły, „flet Nr I“ stał nietknięty na swoim miejscu i swem przekornem a upartem „tak, tak, tak, tak“, kładł ludzi na ziemię a świszczący ołów rozsypywał w powietrzu. John Shipshanks nazywał to „trafianiem tonów“. Nie on grał pieśń na swoim flecie, ale komponował mu ją prze-

ciwnik, rozsypując swych ludzi po polu jak nuty na papierze, bo przecie John Shipshanks strzelał w miarę, jak oni się ukazywali. Angielskie ręce kierowały instrumentem, ale „flet Nr I“ śpiewał pieśnią ko nającej duszy tureckiego żołnierza.

John Shipshanks, niski, dość tłusty, rudawy młody człowiek, chorował ongiś na febrę i teraz niezbyt lubiał ruch. Nad sport i przechadzki przekładał fotel i zajęcie „siedzące“. Dawniej było inaczej, ale dawniej nie bolały go tak kości za każdym ruchem. W nałóg lenistwa popadł zrazu wskutek osłabienia. Po jakimś czasie jednakże odkrył, że lenistwo ma swoje wyborne strony, a mianowicie: kiedy człowiek przestaje biegać za życiem po świecie i siada, życie przychodzi i zaczyna biegać dookoła niego i w ten sposób widzi się nieraz znacznie więcej i wygodniej. Oczywiście—trzeba mieć dobre oczy. Ale wzrok miał John Shipshanks doskonały.

W okopie, zwłaszcza między Ghurkami, nie było co robić. Szukać towarzystwa drugich oficerów-Anglików Johnowi Shipshankowskiemu nie chciało się. Herbatę i konfitury z pomarańcz można było dostać wszędzie. Obserwowanie Ghurków może bawić tych, którzy ich nie znają, ale John Shipshanks spędził wśród nich cztery lata. Wobec tego wszystkiego istotnie najmilej było siedzieć przy karabinie maszynowym i choć od czasu do czasu — zagrać sobie.

Tak też John Shipshanks robił, w chwilach ciszy obserwując transeje nieprzyjacielskie.

Właściwie nie było tu nic ciekawego. W odległości mniej więcej trzystu kroków widniał niski, czarny wał, parapet ze starannie maskowanymi strzelnicami. Co mogło się ukryć w głębokim wcięciu w ziemi za parapetem, John Shipshanks wiedział doskonale. Siedzieli tam jacyś innym językiem mówiący Ghurkowie, zaś między nimi nudził się z pewnością jakiś innym językiem mówiący John Shipshanks. Oparte o ścianę stały karabiny, strażę patrzyły czasem ostrożnie w strzelnice lub w periskop, przez który właściwie nic nie widać, a czasami to wszystko kulilo się i kryło na dnie okopu, gdy szrapnele zaczynały pękać w powietrzu.

Ale John Shipshanks widział, a właściwie słyszał coś, czego inni nie zauważyli. Rzecz w tem, że, jakto już wspomnieliśmy, John Shipshanks był człowiekiem muzycznym i skutkiem tego miał swój własny zakres obserwacji.

Pochodziło to stąd, iż znajdujący się przed nim odcinek okopów tureckich kształtem przypominał mu klawiaturę fortepianu. Co więcej — kiedy John Shipshanks raz skierował ze swego „fletu Nr I“ strumień ołowiu na prawą stronę „klawiatury“, odpowiedział mu „tryl“ karabinu maszynowego, zaś kiedy John Shipshanks zwrócił swój flet na lewo, huknął mu w odpowiedzi niskim basem moździerza

okopowy—miał w ten sposób John Shipshanks przed sobą bas i wiolin.

To spostrzeżenie wprawiło Johna Shipshanksa w niebywały zachwyt. Ujrzał, że klawiatura nie jest niema, ale gra. Czasami grała sama — niezależnie od jego woli, jak mechaniczne pianino, ale czasami John Shipshanks przy pomocy swoich Ghurków i swego „fletu“ tak długo w niej dłubał, aż wreszcie wywołał naprzód jeden ton, potem drugi, trzeci, w końcu całą gamę dźwięków suchych, ale szybkich i przyskających ogniem. Wówczas John Shipshanks opierał głowę na dłoń — i słuchał.

„Klawiatura“ grała.

Przez długi czas nie rozróżniał nic, prócz suchego, szybkiego trzasku. Jak gdyby ktoś bezustannie rozdzierał w powietrzu płótno. Ale po jakimś czasie zaczął rozróżniać poszczególne dźwięki. Nie wszystkie karabiny strzelały na jeden ton—tych tonów, półtonów i ćwierćtonów nawet było ogromne mnóstwo. Dźwięki szły czasem równą gamą, czasem „glissandem“, czasami strasznym, przerażającym akordem, a znów kiedyindziej układały się w „gruppetto“ niejednokrotnie nawet ozdobne i misterne, dziwne, zachwycające.

W pierwszych czasach John Shipshanks myślał, iż przypadkowe połączenie tych dźwięków, prawie nieuchwytnie, przypadkowe są i przemijające, nigdy nie powtarzające się — i zdawało mu się, że

ma do czynienia z najłżejszą pianą życia, której ruch żadnym regułem podlegać nie może, nieregularny i nieobliczalny. Po uważniejszej i dłuższej obserwacji przyszedł jednak do przekonania, że muzyka ta nie jest bynajmniej tak przypadkową, jak mu się zdawało, ale że pewnym przyczynom odpowiadają tu pewne skutki, że zgrupowania dźwięków nie tylko powtarzają się, ale nawet mają ograniczoną ilość kombinacji, mają swoją ściśle określoną skalę, krótko mówiąc, iż jest to życie taksamo dobre, jak każde inne i taksamo umiarkowane i unormowane, podlegające ścisłym prawidłom.

To spostrzeżenie zastanowiło go. Nie ulegało już dla niego żadnej wątpliwości, że ma przed sobą żywy instrument, rozporządzający pewną ograniczoną ilością dźwięków i ich kombinacji. Jakiś już wspomnieli, instrument ten często grał z własnego natchnienia — i wtedy John Shipshanks wsłuchiwał się długo w jego dźwięki, badając ich znaczenie. Odkrył, kiedy w nich jest dusza i wola, a kiedy jest to zimne wirtuozowstwo, próbujące własnych sił. Ale nawet wówczas, kiedy ognista pieśń „klawiatury“ tętniała najwścieklejszym napięciem woli i nienawiści, nie mówiła nic ciekawego, nic takiego, czegoby na zwykły, codzienny język ludzki przełożyć nie można było i nic takiego, na co też nie znalazłoby się słowo odpowiedzi. Była to jedynie obrona lub groźba — zapowiedź natarcia — w jed-

nym i w drugim wypadku mniej lub więcej groźne warczenie jakiegoś potwora, gotującego się do walki. Johnowi Shipshankowskiemu zdawało się czasami, że tam przed nim leży jakiś ogromny pies, warczący czasem wściekle i gotujący się do skoku a czasem leniwem, głuchem warczeniem mówiący więcej o tem, że mu się spać chce, niż że chciałby się zerwać i skoczyć.

Znacznie bardziej zajmującą stawała się ta muzyka, jeśli wywołał ją i rządził nią Shipshanks, zwłaszcza w sposób niespodziewany i nowy. Było to też warczenie, ale rytm jego zmieniał się, stawał się dziwnym, czasem nawet niezrozumiałym. Bywało. — jeden strzał Ghurki wywoływał całą burzę — powstawała naprzeciw panika ogniowa — płomyki, jak wieniec lampek elektrycznych, rozpałały się i gasły wzdłuż parapetu, cała pieśń zciekała w gwałtowny tryl kilku lub kilkunastu karabinów gdzieś na prawym lub na lewym boku i znowu rozpryskiwała się w ognistą gamę chromatyczną lub dyszała akordami-salwami, które rozpałały się i gasły, jak gdyby to potwór jakiś dyszał ogniem. Zwłaszcza w nocy podobieństwo tu było uderzające. Kiedy indziej na całą gamę strzałów Ghurków odpowiadały po drugiej stronie tylko poszczególne „gru petta“, powolne, leniwie wiążące się ze sobą strzały karabinowe, którym kładł koniec wreszcie jeden jedyny strzelec, pukający sobie z pogardliwą powol-

nością pięciu strzałów na minutę. Te pojedyncze strzały, głośno i brutalnie rozlegające się w zapadającej ciszy, odmierzone i powolne, irytowały Ghurków niby spokojnie rzucane bezczelne obelgi i istotnie było w nich coś obelżywego. Żołnierze jego wyli wówczas z bezsilnego oburzenia. Ale nieraz też wyczuł John Shipshanks i silne zdenerwowanie nieprzyjaciela, przejawiające się w strzałach szybkich i gwałtownych a nieporządnym, jak gdyby dźwięki nieprzytomną ręką wyszarpywane z klawiatury. Nierzadko zdarzało się, iż wprawne, muzyczne ucho Shipshanksa wyczuwało w ognistych pasażach i „arpeggiach“ i złość i trwogę, jęk i rozpacz, dziecinną irytację i wściekłą nienawiść, bijącą żywymi płomieniami.

Długo trwało, zanim „klawiatura“ zaczęła się stawać posłuszną jego dłoni. Grał na niej wszelkimi możliwymi sposobami—to przez odpowiednie cieniowanie strzałów własnych żołnierzy, to przez zręczne korzystanie z ognia artylerji, to zapomocą kombinowanych manewrów i demonstracji, to znów przez wystawianie nad okopy specjalnych plakatów. Czasem odrazu stosował wszystkie środki, czasami jeden po drugim. Najtrudniej przychodziło mu budzić „klawiaturę“ za pomocą swego „fletu Nr I“, lecz po jakimś czasie, wyszukawszy jakieś czule miejsca, trafiał w nie tak doskonale, iż przeciwny okop aż się zanosił od trzasku. Muzyczny

John Shipshanks zasiadał przy swym „flecie“ i z obojętną napozór miną zaczynał „grać“. Puszczając krótką salwę w jedną strzelnicę, puszczał w drugą, trzecią. Jego „flet Nr I“ wyrąbywał „staccata“ żartobliwe, lekkie i równe, jak gdyby wesole a naraz skupiał się i wył długim, drwiącym trelem i znowu powoli stukał w ściany nieprzyjacielskiego parapetu, aż wreszcie „klawiatura“ odbrzmiewała i rozpoczynał się — koncert z towarzyszeniem orkiestry, jak to nazywał młody oficer. Zdarzało się, że ten koncert do pasji doprowadzał nieprzyjaciela, który wyskakiwał z tranzeji i rzucał się naprzód, ale wówczas Ghurkowie brali na cel bliższych, zaś John Shipshanks „trafiał tony“ tuż pod samym parapetem nieprzyjacielskim — i to nazywało się „fugą na cztery ręce“, bo i nieprzyjacielskie karabiny maszynowe brały w tem udział.

Muzyczność Johna Shipshanksa zaczęła wydawać niespodziewane rezultaty. Wżywszy się w muzykę ognia, rozpoznawał ten młody oficer nie tylko nastrój, w jakim się znajduje garnizon tranzeji ale i takie szczegóły, jak np., że załoga została niedawno zlużowana, że żołnierz jest nowy, stary lub młody, czysto turecki lub mieszany. Stosownie do tego urządzał też mniejsze i większe wycieczki do okopów przeciwnika, który swym ogniem sam mu się zwykle opowiadał.

Pieśń ognia stała się dla niego żywa, zrozu-

miał ją, odczuwał, ale uchwycić i określić jej nie mógł. Nie mieściła mu się w takty, nie układała się w harmonję, nuty jej spamiętać sobie nie mógł. Zaczął szukać i porównywać.

Jednego dnia zawiązała się bitwa gorąca. Z obu stron gęsto leciały szrapnele, jakby garściami rzucane. „Klawiatura“ trzaskała i dyszała dymem, karabiny maszynowe czekały bezustannie to tu, to tam, wysoko w powietrzu krążyły aeroplany, które od czasu do czasu zrzucały bomby. Ghurkowie nizcy, nerwowi, łatwo podniecający się, strzelali pilnie a czasem którychś z nich, ranny, zawył i w dziecinnej wściekłości, jak gdyby nie wierząc karabinowi, chwycił swój ciężki, zakrzywiony nóż i rzucał nim przez parapet w stronę nieprzyjaciela. Turcy częściej niż zwykle zrywali się do ataku, siedzący przy swym „flecie Nr 1“ John Shipshanks musiał dobrze wyteżać wzrok, aby „trafić tony“, rozpraszające się przed okopami i gwałtownie lecące naprzód. Nie było chwili ciszy, działa ryczały, okopy pryskały bezustannie chromatycznymi gamami śmierci, ziemia drżała.

W tem, w tym straszliwym chaosie i huku muzyczny John Shipshanks złapał jakiś rytm. Wybijały go działa potwornym ciężkim basem i Johnowi Shipshankowski wierzyć się zrazu nie chciało, aby tak poważnym organom jak baterje haubic chciało się wygrywać tak prymitywną melodyjkę —

bo był to najwyraźniej w świecie rytm jakiejś piosenki dziecinnej. Ogromne działa poważnym basem, tak brzemienym w śmiertelne następstwa, z komiczną dokładnością i jakimś śmiesznym pośpiechem wybijały rytm pioseneczki, którą machinalnie i niedbale śpiewały po ogrodowych „rondach“ pięcioletnie dzieci Anglii. I było to jak gdyby działa zdziecinniały lub jak gdyby ta dziecinna piosenka rozrosła się w olbrzymią obręcz ognia, nabijaną prymitywnie naiwnym i prostym rytmem, w takt którego mali chłopcy jeżdżą na drewnianych konikach, zaś małe dziewczątka skaczą przez sznur, pokazując chude, ogorzałe łydki w szkockich skarpetkach.

— Przysłyszało mi się! — mruknął John Shipshanks, nad słuchując.

Ale nie — dziecinna piosenka huczała wciąż dokoła niego. Oto w tej chwili pięć granatów padło — jeden po drugim — i ich eksplozje ułożyły się w „grupetto“ zupełnie identycznie z motywem dziecinnej piosenki. A oto miedziano-żółci Ghurkowie strzelają — ta-ta-ta-ta-ta — znów tensam motyw... I tylko klawiatura naprzeciw brzęczy jakąś piosenkę inną, wrogą i niezrozumiałą...

Huczało John Shipshankowski w uszach, ale przecie wciąż słyszał tę starą, dziecinną piosenkę. Obiecywała ona konika małemu, grzecznemu chłopcu, konika i jabłka czerwone ze starych sadów

Anglii. — Przez zielone łąki Walji pobiegnie twój konik wrony — zapowiadała piosenka — a dziewczęta, stojąc przed drzwiami białych domków z zielonemi okiennicami, uśmiechać się będą do zrzęznego jeźdźca. Czysta i słodka jest woda ojczyściej ziemi i konik spragniony pić ją będzie, a zaś dłoni twojej stara jabłoń nie umknie czerwonego owocu, zwisającego z giętkiej, zielonej gałęzi. —

I słowa nawet przypomniały się Johnowi Shipshankowski.

Ogień potężniał, bezustanku błyskały w powietrzu pękające szrapnele, robiło się gorąco i duszno, piersi z trudem łapały dech. Ghurkowie strzelali pilnie, lecz przycichli.

Turcy wciąż wyskakiwali ze swej transzeji. Johnowi Shipshankowski było to już wszystko jedno. „Grał“ naprzód na „górnym tonach“, potem przenosił szybko i z wprawą ogień przed biegnący łańcuch ludzki i szarpał go. Czasami jego Ghurkowie wypadali z wyciem gardłowym przed parapet i wówczas ich ciężkie, okrągłe noże zaczynały śmigać w powietrzu — poczem bronzowo-żółci wojownicy, pokrwawieni i spoceni znowu wracali do okopów — ale prócz tej dziecinnej piosenki o koniku i jabłku nie słyszał John Shipshanks nic.

Rozesłały się dymy między okopami i znajdujący się naprzeciw Johna Shipshanksa turecki okop przybrał najwyraźniej kształt wielkiej czarnej

kławiatury z białemi, wielkimi klawiszami. Z pod tych klawiszów rwały się nieustannie płomyki, ale co one śpiewały, John Shipshanks nie mógł odgadnąć. W uszach miał tylko wybijany przez działa rytm dziecinnej piosenki i chwilami zdawało mu się, jak gdyby sam był małym chłopcem i siedział na drewnianym koniu na biegunach, podczas gdy matka w wielkim plecionym koszyku swą smukłą, białą ręką wybiera dla niego rumiane jabłko.

Oficer Ghurka zjawił się naraz koło niego i coś mu krzyknął.

John Shipshanks zrozumiał, choć nierozróżniał słów. Pochylił się nad swym „fletem Nr I“ i jeszcze raz strugą ołowiu oblał okop nieprzyjacielski, wstrzykując ogień w strzelnice, a potem wstał, przeciągnął się i wzięwszy w rękę trzcinę ze złotą gałką, wyszedł z okopu.

— Idziemy chłopcy! — zawołał na swoich Ghurków.

Wyszli i rozsypali się tuż za parapetem w łańcuch.

A potem ruszyli za swym młodym oficerem, który szedł ku okopowi tureckiemu wywijając trzcina w powietrzu i śpiewając do taktu działa:

— Przez zielone łąki Walji pobiegnie twój konik wrony —

Zdawało mu się, jakby jego matka stała za nim.

Zaś nagle przyszło mu na myśl:

— A jak też teraz zagra moja „klawiatura“?

Z początku była to zwykła pieśń, znana mu aż nadto dobrze, lecz w miarę, jak się zbliżał do okopu, potęga muzyki wzrosła, świst piekielny, żaloszny zaczął się wydobywać z „klawiatury“ i naraz, gdy John Shipshanks był już zaledwie o kilkanaście kroków oddalony, z szumem wystrzeliła z okopu struga wrącego ognia...

Ogromny płomień, jak szumiący miecz ognisty, uderzył prosto w pierś młodego oficera —

Czarno i złoto zrobiło mu się w oczach.

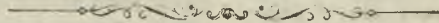
Padł na ziemię.

Ghurkowie z nożami w rękach, jak małpy, z wyciem skoczyli naprzód.

A działa wybijały dalej rytm dziecinnej piosenki.

— Czysta i słodka jest woda ojczyściej ziemi.

Jerzy Bandrowski.



POLONIA W CHARKOWIE.

Plutarch ojczysty, kreślący całokształt dziejów Polski, zbierający dla historycznego obrazu nietylko bujne przejawy zbiorowego życia, wykwitłego na rodzimych łęgach, ale szukający w cieniu wieków atomów duszy polskiej, rozsypanych po dalekim świecie — znalazłby ciekawą wiązaną narodowego żniwa, gdyby zawadził o Charków i jego okolicę. Pod badawczym oskardem zgrzytnęłaby niejedna kość polska, porośla sitowiem Łopani, spieszącej mętną falą przez łącie dzisiejszego miasta w otwarte ramiona szerokiego Dońca; zbudziłoby się echo obozowej pieśni, co aż tu zaleciała z szumem sarmackich proporcji, puszczonej na wolę wichru małoruskiego południa.

Nie daleko stąd może było i ongi do polskiej granicy. Świadczyły o tem wznoszący się w położonej nad dopływem Suły, za ledwie o kilka wiorst od granicy dzisiejszej gubernii charkowskiej, wsi Kuleszówce żelazny obelisk z wiele mówiącym napisem o pograniczu między Polską i Rosją. Pomnik ten, stojący na najdalszej wschodniej rubieży sławnej Rzeczypospolitej polskiej, przypominał nam niedawno i wiernie odtworzył utalentowany artysta-malarz i rysownik-illustrator Mikołaj Wisznicki.

Nie brak jednak dowodów już niezbitych, znacznie późniejszych wprawdzie, że ziarno skarbcia polskiego padało i na charkowską rolę. Mury tu-tejszego uniwersytetu mogłyby najwymowniej opowiedzieć o zasługach polskich mężów wiedzy wobec rosyjskiej wszechnicy, pod którą kamień węgielny położył i którą skrzydłem jasnej opieki otoczył Se-

weryn hr. Potocki, przedstawiony w zaszczytnej tej roli w interesującym szkicu Eugeniusza Świerczewskiego „Z dziejów uniwersytetu w Charkowie“, czytany zapewne przez chętnych nabywców wyszłego tu w zeszłym roku literackiego wydawnictwa „Zdala od Kraju“.

Uniwersytetowi temu daliśmy nietylko energicznego i światłego rektora w osobie Andrzeja Durdowicza, ale nie ma wprost ważniejszej katedry, u której stopni nie stałby Polak, głoszący słowo nauki, tej opancerzonej w jaźń duchową potęgi, docierającej zwycięsko tam, gdzie nie sięgają kule armat, nie zdolna władać mocarna ręka siły, żeby najeżona najzadziejystszymi kolcami gwałtu i przemocy.

Jan Krynicki zaczyna tu przed dziewięćdziesięciu laty swoje tyle interesujące wykłady mineralogii a później i zoologii i stąd zapuszcza się na pobrzeże Czarnego morza, robiąc cenne spostrzeżenia nad bogatą jego fauną. Profesor Leon Cieńkowski, zajmujący wybitne miejsce w nielicznym gronie polskich naturalistów, wyklada botanikę a naukowe jego prace zażywają w świecie przyrodoznawczym omal że powagi kanonu. Królowę nauk, matematykę wyklada głośny Grzegorz Hreczyna, mogący się szczycić. Niemniejszą sławą chlubią się dzisiejsi jego następcy: Przeborski i Rusjan.

Języków starożytnych nauczał głośnej sławy Alfons Walicki, jeden z najznakomitszych na swoje czasy znawców niewiędnącego piękna klasycznego świata. Katedra tyle nam zawsze duchową kulturą pokrewnych języków romańskich spoczywa w rękach profesora Leona Łazarewicz-Szepielewicza,

Młodszy brat nieśmiertelnego Adama, Aleksander Mickiewicz piastuje katedrę prawa rzymskiego, które na rozblasku nowożytnych wieków podbija znowu świat, zawojowany niegdyś mieczem pretorianów a później sokołowany papieskiej tyarze. Profesor Antoni Stanisławski wyklada rosyjskie prawo państwowe, co mu zresztą nie przeszkadza nurzać się w perłach literatury włoskiej, z której przyswaja polskiemu językowi nieśmiertelną Boską Komedję Danta.

Na wydziale medycznym wykładają między innymi: Jan Stankiewicz, D-r Teodor Opęchowski a po dzień dzisiejszy są promotorami wiedzy medycznej profesorowie: Pęski, Przewalski i Żebrowski.

Ale i gimnazja tutejsze dużo imieniowi polskiemu zawdzięczają. Zasłużony orientalista i znawca okrągło tuzina języków, Jan Wiernikowski kieruje gimnazjum charkowskim, dziś znanym pod nazwą I-go. W tymże gimnazjum staje do pracy i uczy historii i geografii Edmund Liwski, ośniewający pozatem z katedry tutejszego uniwersytetu miewaniami zastępczo przez parę lat wykładami z zakresu dziejów starożytnych. Cyprjan Olewiński uczył młodzież gimnazjalną języków klasycznych a nazwiska Bronisława Krajewskiego i Aleksandra Kłopotowskiego, wytrawnych pedagogów i światłych przewodników dorastającego tu młodego pokolenia, świadczą chlubnie o naukowo-wychowawczych zasługach Polaków na terenie Charkowa.

Najdźwięczniej jednak wpada w ucho polskie nazwisko Józefa Korzeniowskiego, tu sprowadzonego na stanowisko dyrektora gimnazjalnego i wizytatora szkół charkowskiej gubernii. W Charkowie

powstało kilka celniejszych utworów tak nam drogiego powieściopisarza i dramaturga, stąd wybiegała jego myśl twórcza ku pieczarom Czarnohory i potokom Czeremosza, w których cieniu i szumie rozgrywał się jeden z licznych dramatów góralskiego karpackiego ludu, dręczonego przez tyle pamiętny galicyjski cyrkuł i jego wiernego służkę, rabuśniczego mandatarjusza. Gruntowny znawca charkowskich stosunków, kreślący w roku 1904 świetny szkic tutejszej polskiej kolonii, Teodor Lipiński, uważa też i wytyka trafnie, że „Karpackich górali“ nie dawano ani razu na tutejszej scenie amatorskiej polskiej, pomimo że był czas i możność wszelka po temu, jak np. w roku chociażby 1897, jako w setną rocznicę urodzin pisarza, kiedy grono dramatyczne liczyło kilka wybitniejszych talentów, jak np. pp. Dorotkiewiczówna, Neymanówna oraz pp. Gaszyński, Włodek i Łada“. Słusznie też ciągnie dalej p. Lipiński, że: „Towarzystwo polskie w Charkowie żadnym obchodem nie uczciło wspomnianej rocznicy, mimo że Korzeniowski tu żył, działał i tworzył“. Niestety późniejsze lata nie przyniosły poprawy w tym względzie, smac trafił tu kult dla zasłużonego pisarza na głębę kamienistą i niewdzięczną, co oczywiście należy zapisać do duchowej księgi charkowskiej Polonii—jako minus poważne i bolesne.

Bram Charkowa dotykały także bieguny kołyski wielkiego Henryka Siemiradzkiego, urodzonego we wsi Pieczenigach, w powiecie charkowskim. Przyszły twórca „Phryny z Eleusis“, „Wazonu i kobiety“ a przedewszystkiem „Pochodni Nerona“, obrazu ofiarowanego, gwoli uczczenia pamiętnego

jubileuszu Kraszewskiego, jako artystyczny kamień węgielny Narodowemu Muzeum w Krakowie, autor światowego rozgłosu teatralnej kurtyny, lwowskiej i krakowskiej, oddychał od niemowlęctwa charkowskim powietrzem i pał zapewne nieraz przejasny wzrok tą południową bujnością słoneczną, tak właściwą okolicom małoruskim. I stąd właśnie zaczerpnięta wrażliwość na koloryt zdaje się być rozsiałą mistrzowskim pędzlem na jego obrazach, wyrosłych z tła zamierzchłego słowiańskiego życia, oglądanych z niesłabnącym podziwem w historycznym muzeum moskiewskim. Nie zapomniał znakomity artysta o mieście, które niemal było mu rodzinnym, ofiarowując tutejszemu kościołowi katolickiemu własnoręcznie wykonany, prześliczny wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa, do którego tyle płynie dziś modłów, westchnień i słów dziękczynienia.

W roku 1826 przesunął się przez Charków największy wieszcz nasz, Adam Mickiewicz, dążąc z Krymu, który miał uwiecznić i ująć w dyamentową oprawę swoich sonetów — do Moskwy.

Mało może kto wspomina, kierując kroki w stronę charkowskiego ogrodu botanicznego, że polska ręka rzuciła pierwszy trud i siew pod jego klony i klomby. A przecież nikt inny, jak hr. Branicka z Białej Cerkwi ofiarowała tutejszemu uniwersytetowi rozmaite sadzonki drzew i krzewów, między niemi niektóre bardzo rzadkie, stąd skwapliwie poszukiwane, wyprawiając z egzotycznym darem własnego artystę-ogrodnika, który przeszczepił przywiezione płonki i latorośle na charkowskie błońa.

A ulica Frankowskiego i oddział szpitalny

dla naszych milusińskich tegoż imienia nie przypominają żywo postaci wielkiego lekarza — filantropa, który rozstawił i utrwalił szlachetne miłosierdzie polskie na długie lata wśród wdzięcznych mieszkańców Charkowa. Świetlana postać d-ra Władysława Frankowskiego przypomina nam mimowoli jego rówieśnika, d-ra Antoniego Giryna, niestrudzonego opiekuna chorych i rzadkiej szlachetności człowieka.

Chlubnym świadectwem, że charkowska Polonia — gdy szło o chwałę Bożą i zaspokojenie wrodzonych potrzeb religijnych — nie dała się prześcignąć w wytrwałości i ofiarności innemu skupieniu polskiem, pozostanie miejscowy kościół katolicki. Zbożna myśl wzniesienia własnej świątyni kiełkowała od dawna w umysłach tutejszych Polaków. Zapalił się do wzniesłego dzieła pierwszy Andrzej Dudrowicz, wspomniany poprzednio rektor charkowskiej wszechnicy, ale nie doprowadził po za przekształcenie jednej z sal uniwersyteckich na katolicką kaplicę. Zainicjonowana sprawa własnego kościoła postępuje i realizuje się jednak szybko, bo już w jesieni 1832 poświęca ks. Czapliński zbudowany przybytek Boży pod wezwaniem „Opieki Najświętszej Marji Panny“. Zacytowany już wyżej Teodor Lipiński tak kościółek ten opisuje: „Na nabytym od miasta za 2000 rb. asygn. gruncie, podówczas na krańcu, dziś prawie w samym środku miasta (przy ulicy Kokoszkńskiej, dawniej Nowo-mało-Sumskiej, a jeszcze dawniej Małej Sumskiej) zbudowano dom niezbyt wielki, murowany z cegły, pozornie o dwu piętrach, raczej o dwu rzędach okien. Dom, nie różniący się swym wyglądem od sąsiednich, niczem świątyni nie przypominał, zaledwie krzyż

u wejścia mówił o jego przeznaczeniu. Wewnątrz dość ciemny i ponury, dość ubogo ozdobiony, podczas dla potrzeb nielicznej parafii najzupełniej wystarczał".

Kilkadziesiąt lat upłynęło, nim odczuto ciasność skromnego kościółka i zakrzętało się około wzniesienia nowego domu Bożego. Inicjatywę w tym kierunku ujawnili pierwsi a później stali, jak wierni żołnierze, usque ad finem na straży budowy — ks. Piotr Kiszczewski, ówczesny proboszcz charkowski i pułkownik Jaworski. Napływały składki, powiększało się grono ludzi dobrej i śmiałej woli, przekształcone w roku 1877 w legalny komitet, w którym zasiedli, obok już dwóch pierwszych wymienionych inicjatorów całego dzieła, pp. Boczkowski, Bortkiewicz, Gilon, Gutowski, Kwiatkowski (senior), Mikolejski, Pawłowicz, Poluta, Przyjałkowski, Rempe i Wisznicki. Plany wypracował i później budową kierował inżynier-technik Bolesław Michałowski, a w roku 1892 mógł sufragan mohylowski, ks. Symon, dokonać konsekracji nowo zbudowanego kościoła, którego wnętrze długo jeszcze urządzano i zdobiono po uroczystym akcie poświęcenia.

Mówić o pożyteczności wzniesionej świątyni — znaczyłyby pisać traktat teologiczny, albo conajmniej podkreślać znaczenie gorąco i powszechnie uznawane, mówić zaś o wartości architektonicznej i artystycznej kościoła — znaczyłyby szukać watorów na polu, omal że ubogim. Skromna stosunkowo, bo zaledwie 50.000 rb. licząca kwota, jaką zdołano zgromadzić na budowę i urządzenie kościoła, dużo w tym względzie łomaczy a ofiarność parafian i chojność mecenasów sztuki pozwoli może

w przyszłości na ozdobniejsze, sutsze i estetyczniejsze wyposażenie wnętrza świątyni.

Przy kościele, którego proboszczem jest obecnie powszechnym szacunkiem i wielkim zaufaniem darzony, ks. dziekan Jan Sieklucki, znajduje się biblioteka, którą wartoby przyprowadzić do ładu i przez to uprzystępnicy czytającemu ogólowi. Również istnieje przy kościele, na mocy osobnego filantropijnego zapisu, przytułek dla staruszek, któremi opiekują się pp. Aleksander Kwiatkowski, Pęski, Wilga i Wirszyło.

Coraz to silniej odczuwanemu brakowi niegającego ogniska, u którego jasnych i ożywczych promieni mogłoby krzepić się życie polskie, snuć się nieprzerwanie przedziwo pracy narodowej, zaradziła tutejsza Polonia ochoczo i ofiarnie, wnosząc przed sześciu laty Dom Polski. Narodowa ta instytucja, jedna z rzędu tych, jakimi chlubią się Polacy zamieszkali w innych wielkich grodach cesarstwa, wbiła się najtrwalej w pamięć każdemu, kto tylko zawadzi o Charków. I słusznie, bo czem kościół dla sfery wierzeń i religijnych potrzeb, tem dom ten własny dla ojczyznej idei i narodowych pragnień. Strażnica to myśli polskiej i busola narodowego czucia, domowa zagroda, zwołująca wszystkich Polaków pod swoje strzechy, zwłaszcza po otrzymaniu w pamiętnym dniu ostatniego lutego 1917 szczerego chrztu demokratycznego, otwierającego dzięki wnioskowi znanego warszawskiego pedagoga p. Henryka Kirsta, na oścież wierzeje Domu Polskiego wszystkim warstwom i stanom.

Dzień 7 marca b. r. dał instytucji naszej nowy zarząd. Główna buława przeszła w ręce p. Ka-

rola Trzetrzewińskiego, przy którym stanął jako zastępca p. Felicjan Karśnicki. Członkami zarządu zostali: pp. Kazimierz Goljan, Henryk Kirst, Włodzimierz Kwiatkowski, Zdzisław Oplustil, Roman Ottowicz, Zygmunt Packiewicz, Jan Piotrowski, Gustaw Rosenblum, Stefan Wojciechowski, Zygmunt Zakrzewski i pani Marja Robakowa, jako reprezentantka kobiecego świata, wnoszącego w pracę społeczną skrzepiające ciepło serca i tę troskliwą, właściwą niewieście zapobiegliwość na poły rodzinną. Piękne to pole pracy, u nas tem wdzięczniejsze, że zapuszczone... To też nowoobrana przedstawicielka kobiet, wnosząc do obrad prac Zarządu Domu Polskiego akordy i iskry, jej światu właściwe — zapisze nie tylko chlubnie własne, ale zrehabituje wymownie niewieście imię i przywróci mu nimb utracony. Oczekiwać wogóle należy, że to, co się nie ze wszystkim udało potężnej fali wychodzącej — poniesienie barki Domu Polskiego na szeroki ocean, do którego ściekają wszystkie narodowe strumienie, powiedzie się jasnym prądem, wytrąsłym przy świetle rewolucyjnej pochodni u długo sztucznie tamowanych zbiorników siły wszystkich naszych warstw i stanów. Wszystkie też one muszą zejść się w Domu Polskim, który wtedy dopiero spełni swoje szczytne, kresowe posłannictwo.

Przy Domu Polskim istnieją rozmaite sekcje, wśród których pożytecznością i sprężystością celuje niewątpliwie Sekcja gimnastyczna. Prezesem sekcji jest p. Kazimierz Goljan, obok którego pracują pp. Jan i Leonard Wernerowie, Czesław Ociepka, Józef Pluciński i Zdzisław Oplustil. Komenda i nauka spoczywa w dzielnych rękach pp. Jana Wenera

i Czesława Ociepki, a jest komu przewodzić i kogo kształcić, jeżeli zważymy, z górami dwustu członków staje ochoczo i karnie do musztry i ćwiczeń. Rozbito ich, gwoli możliwie jaknajlepszemu i najwłaściwemu szkoleniu, na ośm kompletów ćwiczebnych, z tych dwa damskie, cztery męskie i dwa dziecięce. Kwitnie w najlepsze gimnastyka szwedzka w połączeniu z sokołą, zapał i ambicya do uzyskania złotej rycerskiej ostrogi rośnie niemal z ćwiczenia na ćwiczenie, dziecięcy świeatek wyteża muszkułki z dojrzewającym hartem, a żeńska drużyna nie potrzebowałaby się długo wadzić z najsprawniejszym hufcem amazonek o jabłko Afrodyty. I jeżeli w Charkowie poczyna rozzdzaniać dość nieoczekiwanie trąbka sokoła — jest to w lwiej części zasługą sekcji, żadnej nie hałaśliwej reklamy, lecz możliwości rozszerzenia i doskonalenia terenu pracy przez powiększanie ćwiczebnych kadrów i prowadzenia ich szlakiem fizycznego rozwoju do zdrowia moralnego.

Zawiązała się również pod egidą Domu Polskiego Sekcja literacko-artystyczna a utworzone w jej łonie, niemal w dniu narodzin, trzy podsekcje, mianowicie: plastyczna, muzyczna i literacka, świadcząby, że sekcja zamierza odegrać w artystycznym i kulturalnym życiu naszej kolonii rolę doniosłą, twórczą, przy umiejętnem i celowem wyzyskaniu całego zespołu i zasobu artystycznego, zgromadzonego w tej chwili w niewidzianej dotąd liczbie i krasie w charkowskiej stаницy.

Honorowym prezesem Sekcji jest profesor Konstanty Gorski, prezesem rzeczywistym jest Leopold Staff. Stanowiska wiceprezesów piastują pp.

Roman Gliniecki i Stanisław Ostrowski. Sekretarzem jest p. Kazimierz Rolle, mając do pomocy p. Eugeniusza Świerczewskiego. Skarbnikiem jest p. Ordynski, nadto do zarządu wchodzi głośny artysta-malarz Franciszek Bruzdowicz. W sekcji plastycznej pracują obok artysty Bruzdowicza, artyści-malarze: Bąkowski, ogólnie ceniony Marjan Puffke, Feliks Gecewicz, Stanisław Pichor, Włodzimierz Kuhn, przedewszystkiem świetny karykaturzysta, popularny w Charkowie z powodu dowcipu skrzącego na jego lokalnych szkicach, malarz-dekorator Zygmunt Packiewicz i artysta-rzeźbiarz Ostrowski. W skład sekcji muzycznej wchodzi pp. Konstanty Gorski, Władysław Sawicki, Zygmunt Skirgiełło, Zygmunt Wiehler i Stanisław Pichor. Sekcję literacką tworzą: Bronisława Ostrowska, lutnistka polska zawsze chętnie słuchana, ilekroć dźwięczne struny poruszy; głośny poeta i dramaturg Leopold Staff, profesorowie: Roman Gliniecki i D-r Teodor Mianowski, sekretarz redakcji Kurjera Polskiego w Warszawie, Kazimierz Rolle i Eugeniuś Świerczewski, student filozofii i korespondent pism. Do sekcji należą również wytrawni znawcy sztuki i cenieni esteci: D-r Treter i D-r Kruszyński.

Wydawać sąd o powstałej sekcji, zawiązku niewątpliwie pięknych i cennych nadziei.—znaczyłoby, o ile idzie o pewne działy sztuki, chcieć oceniać wydajność artystycznego żniwa przed dojrzeniem kłosów, pod które glebę dopiero się może przeoruje.

Jeżeli urządzony w dniu 17 marca b. r., ku uczczeniu setnej rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki, wieczór literacko-muzyczny — ma być pierwszym, trójramiennym artystycznym świeczni-

kiem, w którego blasku stanęły w oczekiwaniu polasku i sądu, wszystkie trzy podsekcje na widowni — to najkolorowiej jarzyła się tęcza świetlna po stronie podsekcji plastycznej. Wykonana pod kierunkiem i według pomysłu artysty tej miary, co Franciszek Bruzdowicz, dekoracya krakowska — zmuszała głęboko uchylić czoła i przed ideą artystyczną i przed zbiorowem jej tak żywym ucieśnieniem na ekranie. Mistrz Bruzdowicz i jego współtowarzysze, zatem: Puffke, Kuhn, Pichor i Packiewicz zdobyli też bogaty wieniec uznania i hołdu. Mniej szczęśliwym był już p. Stanisław Pichor z popiersiem Kościuszki. Nie najwspanialsza twarz raclawickiego bohatera i niekoniecznie fortunny pomysł malarski wprowadzenia ceglastej barwy do herbowej tarczy polskiej — umniejszają wartość wykonanego witrażowego obrazu, bez zarzutu, gdy idzie o efektownie a łagodnie rzucone sploty okalających jądro obrazu kwiatów.

W całej pozłocie blasku stanął po drugiej stronie artystycznego świecznika Konstanty Gorski, głęboki kompozytor i skrzypek niezrównany, ale mający u nas już sławę dawno ustaloną. Przed dziesięciu laty z okładem pisała o nim miejscowa krytyka: „Nie wątpimy, że prof. Gorski zajmie kiedyś wybitne miejsce w panteonie sztuki polskiej. Do wysunięcia się na szerszą widownię przeszkadza mu ogromna skromność i absolutny brak wszelkiej błagi, reklamy i pozowania, które u nas niestety nawet miernym talentom torują nieraz drogę do popularności i rozgłosu“. Wątpliwe natomiast bardzo, czy sekcja muzyczna widzi chętnie na swoim artystycznym koncju odegrany przez p. Skirgiełłę

żałobny marsz, albo załatujące kalwaryjską kruchtą produkcje chóralne.

Trzecia ściana kandelabru świeciła — po za wytwornem, patryotycznie płomiennem, naukowo-głębiem przemówieniem profesora Glinieckiego — szczerą pustką. Bo na ciągnięciu po estradzie dźwięcznych, ale ogranych — harfy Ujejskiego i liry Lenartowicza, zdobędzie się pierwszy z brzegu aranżer. Miejmy nadzieję, że następne duchowe biesiady, jakie zastawi na naszym stole sekcyja, będą już świadczyły niepodzielnie, że jej gniazdo uwite jest jednak na szczytach Helikonu.

Przy Domu Polskim istnieje także i działa „Koło Pań“, zrzeszenie, które zapoznawać może tylko ten, kto nie docenia tej jasnej, dobroczynnej roli, jaką odegrała w naszym narodowym życiu kobieta polska, budząca wdzięczność wśród swoich, podziw u obcych. Zawstydzają nas może Scypiony i Aristidesy, męskie postacie, starczące za symbol wytrwałości i sprawiedliwego „suum cuique“—ale matce Grachów, czystej Wirginii i wiernej Penelopie możemy przeciwstawić o każdej dobie, bez rumieńca zakłopotania, całe grono polskich matron i dziewic. Gdy wypadła raz po raz z mdlejącej narodowej dłoni miecz za wolność w nierównej walce wznoszony, nie przestawała skubać kobieta polska szarpi, któremi tamowała rany, na ciele ojczyzny co dzień krwawiące. Zna Charków kobiety polskie, najlepsze Andromaki u boku Hektorów, bojujących o polskie Ilium na dalekiej obczyźnie. Idzie tradycje te nie ze wszystkim zgasły, acz pod wciąż rosnącą warstwą szarzyzny i wyteżoną troską o byt musiały wylądzić się prądy, stawiające coraz

to silniej i wyżej własne potrzeby, z dziełami altruizmu aż do nadmiaru się kłójące.

Charkowskie koło pań koordynuje przedewszystkiem prace kobiece, ogniskuje częściowo dobroczynność, wyszukuje dla kobiecego świata zarobki i posady, deleguje z niewieściego grona pracownice do ochronek i dostarcza wogóle sił kobiecych, twórczych i czynnych na rozmaite posterunki narodowe i filantropijne. Wśród imion, którem należałoby się—w razie chęci wyczerpania nazwisk wzmianka — zasługują na zamieszczenie na wyróżniającej karcie: pp. Szczawińska, Trzetrzewińska, Dobronoki, Zakrzewska, Sierzputowska, Rosenblumowa. Nie szczędzą również trudu i ofiar pp. Wilżyna, Zaleska, Felicjanowa i Józefowa Karśnickie, Włodzimierzowa Kwiatkowska, Gutowska, Gałęzowska, Veltuzenowa, Hubertowa, Markiewiczowa, Millerowa, Bratkowska i Toeplitzowa.

Przy Domu Polskim istnieje biblioteka i czytelnia, której księgozbiór szybko wzrasta, czemu nawet nieproduktywny czas wojenny nie zdaje się zbytnio przeszkadzać, bo gdy pożyteczna ta instytucja posiadała n. p. w roku 1913. do 3000 dzieł, w dwóch trzecich wydzierżawionych, w jednej trzeciej własnych, liczyła w 1915 roku 1870 dzieł wydzierżawionych i 2028 własnych, wzrosła przeto o tysiąc dzieł i to przeważnie własnych. W roku 1914 powstał odrębny dział książek dla dzieci, garnących się coraz to chętniej do czytania. Funkcye bibliotekarza sprawował, po ustąpieniu p. Nowickiego, blisko rok skarbiący sobie przez cały ten czas wraz z p. Janem Sajkiewiczem głęboką wdzięczność, p. Stanisław Rejsing, obecnie ma pieczę nad

książkami artysta dramatyczny p. Józef Karbowski, Kolebki Księgarni Polskiej, której interesujące i urozmaicone okna wabią magnetycznie przechodnia na Sumskiej ulicy — należałoby poszukać w zakładzie księgarskim pamiętanej tu jeszcze dobrze Heleny Sikorskiej, od której spadkobierców nabyli upadający interes dzisiejsi właściciele, związani w spółkę komandytową z pp. Włodzimierzem Kwiatkowskim, Józefem Dworzańczykiem i Janem Wilgą na czele. Współdzielczą tę organizację przybrała handlowa placówka polska z końcem roku 1913, dopiero jednak marzec 1914 ukazał nam pożyteczną i kulturalną instytucję w dzisiejszym tłumnie odwiedzanym lokalu.

Wojna, zwożąca na armatniej lawecie bogate żniwo śmierci do cmentarnych stodół, nie sprzyja księgarskim gumnom, gdzie zwykli składać mistrze wiedzy i sztuki „swych uczuć przędze i swych marzeń kwiaty“. A jednak księgarnia polska krząta się energicznie, aby zgromadzić na swoich półkach wszystko, co i skąd tylko można. Czytelnik znajdzie tu przedewszystkiem wszystkie polskie wydawnictwa, jakie się ukazały podczas wojny w państwie rosyjskiem. Po za działem polskim jest tu również obfity sortyment francuski i angielski. Na szczególne podkreślenie zasługuje cenny komplet wszystkich dzieł i publikacji, wyszłych w tychże językach w sprawie polskiej. W księgarni ogniskuje się także główny skład i zastępstwo Leona Idzikowskiego z Kijowa.

W już zdobytym wieńcu zasług księgarni, dającej poważną rękomię rozwoju, gdy z ustaniem wojennej posuchy napłynie do Charkowa złoty deszcz

wydawniczy — pozostaną palmowem zieleń własne wydawnictwa obecnej doby, istnej haszczy kolców i cierni, w jakiej przychodzi się płatać śmiałkom, marzącym dziś o książkowych nakładach. A jednak księgarnia wydała: Władysława Bełzy „Katechizm dziecka polskiego“ i „Powiastki dla młodego wieku“, Michaliny Mossoczowej (M. Kaliskówny) „Radosny dzień“ (opowiadanie o konstytucji trzeciego maja), Bronisławy Ostrowskiej „Dla dzieci“ i „Pielgrzymie polskie ABC“, Leopolda Staffa „Siew doli“, i Bronisława Geberta oraz Gizeli Gebertowej „Opowiadania z dziejów ojczystych“. Ostatnia publikacja, docierająca do najdalszych zakątków Rosyi, czytana pod strzechą wieśniaczą, namiotem wychodźczym i w obozie jeńców wojennych, wyszła w uzupełnionej redakcyi cenionego pedagoga lwowskiego D-ra Teodora Mianowskiego, ukrywającego się skromnie a trafnie pod pseudonimem Józefa Potrzeby. O książce tej piszą wychodzące w Kijowie „Wiadomości Bibliograficzne“ w styczniowym numerze b. r. pomiędzy innemi, co następuje: „Wykład przystępny i jasny, żywość i barwność obrazów, serdeczny duch obywatelski, przebijający z każdej karty, umiejętne wyzyskanie nowych prac naukowych bez wystawiania erudycyi — są niepospolitemi zaletami tej książki, która dzięki bogactwu poważnej treści będzie bardzo pożytecznym podręcznikiem nawet na wyższym stopniu nauki szkolnej“.

W charkowskiej księgarni polskiej pracują obecnie: pp. Józef Skrypij główny kierownik, zawołany w swoim zawodzie rutynista, dalej długoletni współpracownik znanej firmy warszawskiej Gebethner i Wolff, Wiktor Schupp, prowadzący obecnie nader

umiejętnie wydział zagraniczny i p. Kotowicz, popularny lwowianin, mający mało sobie równych w bieglem znastwie nut muzycznych.

Na tętnach raźniej krążącej od zwycięskich dni rewolucyi krwi politycznej i rozbitych czerepach prasowego kagańca, poczyną się i nas ożywiać tak pożądaný ruch wydawniczo-dziennikarski. Pierwszy wystąpił z własnym tygodniowym organem miejscowy Komitet robotniczy polski, wydając od 12 marca „Jedność robotniczą“. Organ obliczony na ochronę klasowych interesów potężnej armii robotniczej, dążącej w latach ostatnich, omal wybiegających już po za wiek pary i elektryczności, coraz wytrwalej do nadania światu oblicza i ustroju, zgodnego z doktryną i ideą socjalistyczną.

Nawet skromny człowiek rad jest, gdy dom jego otoczy nimb staropolskiej gościnności. Ale szczodrość prawdziwa wyraża się nietylko w afektach i szerokich gestach, przypominających zamknięte w spichrzu pradziadów koła sąsiedzkiego wasągu. Szczodrość prawdziwa szuka przedewszystkiem nędzy i słusznie Słowacki o tym tylko domu mówi że:

„piękność chował dawnych, szczerych rysów,
„napelniającą dom wonią narcysów“ —

który miał: „w środku jasną cnotę gospodarza,

„dla nędzy także otworzone progi“

„i obwarzanek biały dla nędzarza...“

Przysłowiowy gość w dom zjawia się nietylko w atlasach, lub modnie skrojonym tużurku, stuka on często o oddrzwia żebraczym kosturem, a czasami wstydy się przyznać wyciągnięciem ręki do męki głodu. Stąd filantropia pozostanie najtkliwszym wyrazem i najbujniejszym objawem zbiorowe-

go serca, a acz kwestyi socjalnej puszką św. Wincentego a Paulo rozwiązać nie sposób, jest miłosierna ofiara kojącym lekiem na zło społeczne, nie na tem polegające, że są bogaci, bo ci istnieć mogą, ale leżące w tem, że jest tyłu biednych.

Polonia charkowska związała się w Towarzystwo dobroczynności w roku 1896, ale dobroczynność towarzyszyła jej od pierwszych chwil działalności na bruku miasta. Jeżeli przyszło sprezentować pióro przed osobami, które już to wyprzedziły znacznie powstały stosunkowo bardzo późno dobroczynny związek już to działały w jego ramach, albo zgoła po za nim uprawiały filantropijną partyzantkę, nie godzi się zapomnieć o nazwiskach takich, jak: Helena Sikorska i Aleksandra Iwaszkiewiczówna, dwie dusze siostrzane, zespolone nietylko węzłem krwi ale ustawiczną wędrówką po charkowskiej dolinie łez, Władysława Frankowska, oddająca każdą wolną chwilę dziełom miłosierdzia, Felicjan Słoniewski, działacz filantropijny nie z rozgłosu a z krwi i kości, Tytus Nejman, wielce dla miejscowej dobroczynności zasłużony, Kazimierz Nejman, rąbiący prosto z mosta swoje czynem popierane poglądy na zadania dobroczynności, nieraz opatrnie pojmovane, profesor Lucjan Pawłowicz, strzegący zazdrośnie, by nie wiedziała lewica, co czyniła jego do nadmiaru chojna prawica, Helena Bretsznajderówna, najlepsza opiekunka ubogiej dziatwy, d-r Adam Mickiewicz, zawsze chętny do bezinteresownej pomocy lekarskiej, w czem mu najszlachetniej sekunduje d-r Julian Pęski. Nazwiska pań: Sikorskiej, Polańskiej, Mrajskiej, Wilżyny, Reszkowej, Roszkowskiej, Szczawińskiej, panów:

Stawińskiego, profesora Opęchowskiego, Krajewskiego i wielu innych — świadczą o okazałej litanii osób, stwierdzających ewangeliczną miłość bliźniego uczynkiem żywym i organizujących ofiarnie a umiejętnie chodzące luzem miłosierdzie.

Obecnym prezesem jest p. Wilga, sekretarzem p. Wojciechowski, skarbnikiem p. Ottowicz. Założona przy Towarzystwie szkołka początkowa rozwija się i podzielona obecnie na trzy oddziały skupia w swoich dobroczynnych murach setkę dziatwy, dbając nietylko o jej duchowe ale i cielesne potrzeby. Kierownictwo naczelne i administracyjne szkoły spoczywa w rękach p. Zenona Szczańskiego, główną nauczycielką, przejętą macierzyńską troską o los poruczonej sobie dziatwy, jest p. Władysława Lühe, mając do pomocy równie niezmordowane pp. Eugenię Gawrońską, Julję Wądołkowską i Aleksandrę Dementiewą.

Towarzystwo dobroczynności utrzymuje również dwa przytulki, dla dziewcząt pod wezwaniem św. Anny, dla chłopców pod imieniem ks. Wagnera. Opiekunkami tych schronisk są niestrudzone filantropki pp. Golianowa i Wilżyna oraz p. Amalia Dobronoki, mogąca słusznie się chlubić niejednem dziełem żarliwego miłosierdzia, czerpanego ze szlachetną subtelnością nie ze źródła tak chętnie obnoszonej łaski a z najczystszeo źródła poczucia obowiązku.

Krociowy zapis, uczyniony przez ś. p. Piotrowskiego na rzecz towarzystwa, pozwoli mu już niezadługo szeroko rozpostrzeć nad nędzą i brakiem ochocze skrzydła, których lot dobroczynny oby

mógł wydażyć rosnącej na łzawem podłożu niedostatku potrzebie.

Życie Polonii charkowskiej musiało z natury rzeczy odezwać się silniej, począć drgać wprost gorączkowo w momencie, w którym wypadki wojenne prysnęły tłumną falą wysiedleńczą o bruk miasta. Gdy do bram charkowskich zapukało nieszczęście wielotysięcznym stukiem rąk polskich, oderwanych od sierpa, łokcia, młota, cyrkla, pióra, słowem od wszystkich narzędzi pracy — musiały podać sobie ponad napełniającą się, nakształt w dniach topieli tamy, niedołą ludzką szranką — dobroczynne i zbawcze dłonie: miłość bliźniego, aby łagodzić szerzone przez wojnę cierpienia i miłość ojczyzny, aby umniejszyć narodowe straty, grożące pustką w domowych ścianach. W ten sposób powstawały ogniska pieczy bratniej i placówki narodowe, potężne schroniskowe zręby dla bezwinnych ofiar niszczycielskiej pożogi o trupim zapachu i czerownej głowni, docierających dziś do najdalszych światowych przesmyków.

Sam niemal początek wojny dał pochop do utworzenia w łonie charkowskiego Towarzystwa dobroczynności „komisyi tymczasowej pomocy dla wygnańców z Polski“, udzielającej wsparć gotówkowych, obiadów i odzieży w stopniu bynajmniej nie skąpym. Komisyja ta przekształciła się w miesiącu sierpniu 1915, a raczej można powiedzieć została wchłoniętą przez sformowane tu w tymże czasie Polskie Towarzystwo pomocy ofiarom wojny, zwane powszechnie piotrogrodzkim ze względu na siedzibę swojej centrali. Pierwszym prezesem Towarzystwa był inżynier Dworzańczyk, obecnym prezesem jest

p. Józef Karśnicki, funkcyje wiceprezesów pełnią pp. Felicjan Karśnicki i Erazm Taylor.

Do urzędników Towarzystwa należą pp. Chobot, Cholewiński, Grodzicki, Łoziński, Romaniuk, Sawicki, Stawowiak, D-r Strzemecki, Suchodolski, Szymański i Topolnicki. Urzędujące w Domu Polskim a opiekujące się polakami, poddanyimi państwa rosyjskiego Towarzystwo dzieli się na szereg sekcji, jak: mieszkaniową, żywnościową, odzieżową, schroniskową, ochronek, szkolną, kulturalno-oświatową, akademicką, sanitarną, pracy, opieki nad jeńcami i więźniami, tudzież opieki nad obcopoddanymi (Patronat). Towarzystwo zajmuje się również wypłacaniem przez rząd strawnego (pajka).

Towarzystwo zbudowało cały szereg dzieł chlubnych a pożytecznych, z których większość, jako wywołana potrzebą chwili, ulegnie likwidacyi w miarę odpływu skupionej fali ludzkiej w dawne łożyska, ale niektóre z powołanych do życia instytucji przetrwają niewątpliwie czas wojenny i pozwolą położyć na zasłużonych kartach Towarzystwa zaszczytny napis „*non omnis moriar*“. Działała tu i zbiorowa najlepsza wola i szlachetna inicjatywa jednostek, te też czynniki, należycie scharmonizowane, oby stały na straży wzniesionej budowli, zwłaszcza jej części nieulegających rozbiórce w godzinę powrotu.

Do rzędu instytucji, które pod opieką i przy poparciu Towarzystwa powstały i są dzisiaj pięknymi, kwiatami na wysiedleńczym ugorze, należy Polska Szkoła Średnia, przy której narodzinach zasłużyli się pp. Szczawiński i Sekułowicz, z których pierwszy nie szczędził herkulesowych wysiłków gwoi

zdobycia koncesyi. Siedmioklasowa ta szkoła, z podziałem na komplet męski i żeński, kształci dzisiaj 364 uczni i uczennic i zapobiega znakomicie rodzicielskiej trosce o normalne i celowe wychowywanie dzieci w czasach, burzących siłą rzeczy powszedni tryb życia. Zakładem kieruje dyrektor Borowski, niepozwalający ustać a tem mniej rozbić się szkolnej nawie o rządową Scylę, zabierającą raz wraz na swój, na szczęście w falach rewolucyi zatopiony tępy cypl, jakąś użyteczną siłę nauczycielską pod ulubionym pozorem obcopoddaństwa. W szkole uczą panie: Ciapko-Służkówna, Duraczówna, Karańska, Kowalewska, Kuleszanka, Orłowówna, Ostrowska, Stalska, Szaniawska i mająca za sobą długoletnią świetną rutynę Szattnerówna. Z sił męskich uczą panowie: Bayer, Belczyk, Bettner, Bruzdowicz, nietylko znakomity artysta-malarz ale i świetny profesor rysunków, pod którego kierownictwem dochodzi młodzież do rezultatów, nie wszędzie osiągalnych, ks. d-r Filipiński, Kirst, ceniony profesor warszawski, d-r Kruszyński, głęboki znawca sztuki, d-r Mianowski, Myszuga, młody, wiele obiecujący profesor historii, Nowicki, Okuniewski, wysoce poważany miejscowy pedagog rządowy, Ruxer, jeden z pierwszych matematyków wśród galicyjskiego korpusu profesorskiego, Sekułowicz, Strycki, Szacki, Werakso, Zacharzewski i Zbieranowski. Nadto należy nadmienić, że pan Szczawiński udziela w VII klasie nauki prawa, co jednak uznać trzeba za rzecz chybioną, gdyż ta gałąź wiedzy nie może być z korzyścią w szkole średniej wykładaną. Przeciw tradowaniu prawa, żeby i w najpopularniejszym zarysie w szkołach śred-

nich wypowiedział się stanowczo swojego czasu zjazd prawników i ekonomistów polskich w Poznaniu i szkoda, że wyluszczone tam powody nie zdołały powstrzymać Dyrekcyi od włączenia w program szkolny przedwczesnego, specjalnego traktowania wymagającego przedmiotu. Ogólne zaś pojęcia prawne, które młodzieży szkolnej przyswojone być mogą i powinny, mieszczą się zupełnie wygodnie w ramach nauki statystyki, której ważności dość podkreślić nie można. Dodajmy jeszcze, że energicznym sekretarzem zakładu jest pan Stanisław Estreicher, wychodzący w swojej pieczy o potrzeby uczącej się młodzieży daleko poza zakres ciężących na nim obowiązków administracyjnych. Pieczę tę dzieli z nim ofiarnie i wytrwale pani Kowalewska.

Garstka młodzieży szkolnej korzysta z dwóch burs, z której jedną opiekuje się pani Toeplitzowa, zaś druga pozostaje pod opieką wdzięczność młodzieży i rodziców a cześć w społeczeństwie skarbiającej sobie pani Kirstowej.

Również powołało Towarzystwo do życia wysoce pożyteczne kursy wieczorne dla analfabetów, prowadzone umiejętnie przez p.p. Dementiewą, Gawrońską, Homajer, Wądołkowskie (Julię i Wiktorję), tudzież panów Jarosińskiego, Sadkowskiego i Szackiego.

Towarzystwo założyło również i prowadzi 21 początkowych szkół dla dzieci, kupiąc tu 850 główek. Personal nauczycielski liczy 30 osób, w czem 9 bezpłatnych. Osobno znajduje 377 dzieci pomieszczenie w siedmiu założonych przez Towarzystwo ochronkach, wymagających skoro uwzględnimy personal nauczycielek (przeważnie freblanek) i pielę-

gniarek a także personal służebny, z górą 40 osób. Ku chlubnie miejscowej Polonii wypada podnieść, że jedna czwarta część personalu pełni przyjęte funkcje bez jakiegokolwiek wynagrodzenia a pani Rosenblumowa, w której niestrudzonych rękach, jako przewodniczącej sekcji, spoczywa naczelne kierownictwo ochronek, wkłada całą duszę w dziecięcę gniazdką, gdzie dorastają bezpiecznie polskie orlątką.

Dziewięć założonych schronisk dla kalek, starców i niezdolnych do pracy, zabezpieczających byt 139 inwalidów społecznych, świadczy również nader dodatnio o działalności Towarzystwa, które zdołało nadto ufundować ambulatorjum, gdzie z pomocy lekarskiej i sanitarnej korzysta miesięcznie do 1800 osób.

Osobny rozdział wypadłoby poświęcić bursie rzemieślniczej, lub założonej przez kulturalno-oświatową sekcję Towarzystwa bibliotece na Panasówce dla warstwy robotniczej i rzemieślniczej młodzieży, dostarczającej kontygentu z górą 500 czytających. Acz zarząd biblioteki zdołał zgromadzić około 1700 książek, jest ilość ta daleką od zaspokojenia popytu na duchową karm książkową, pożądaną przez ludność polską, osiadłą na skrajach i przedmieściach Charkowa. To też ogół nasz powinien gorąco poprzeć piękną instytucję, głównie przez ofiarne powiększanie jej księgozbioru a z pewnością niejedno dzieło, dziś leżące w strychowym pyłe, albo na dnie podróznego kufra, przejdzie z pożytkiem przez dziesiątki rąk, umili wypoczynkowe chwile, wykształci umysł i serce. Powstanie podobnych bibliotek i na innych charkowskich przedmieściach

byłoby powitanem serdecznym oklaskiem radości i uznania.

Sekcja pracy może z chlubą wskazać na szwalnię, rozwijającą się pod opieką mało chwil rezerwującą sobie, pani Dobronoki, a pulsujący dzisiaj skrzętnym ruchem głośny warsztat szewski zawdzięcza również ruchliwemu Towarzystwu swój kamień węgielny. Kamień ten położono jeszcze w październiku 1915 r. i w krótko stanęło blisko 60 osób do pracy w warsztacie. Brak surowca, zwiększony rekwizycją skór, hamował tempo prac i obniżał stopniowo cyfrę pracujących, stopniała w końcu do 10 ludzi. Nad warsztatem zawiązała myśl likwidacji, ale posępne chmury rozpędził śmiała inicjatywa i niez mordowaną pracą p. Zdzisław Oplustil, który wystąpił z projektem wyrobu drewnianego obuwia. Plan spotkał się z aplauzem, rzeczywistość przeszła rychło związane z nim nadzieje a praca zawrzała z wzmoczoną energią z chwilą przejścia warsztatu na Towarzystwo udziałowe z p. Edmundem Ende, jako kierownikiem handlowym na czele. Towarzystwo Piotrogrodzkie inwestowanego w warsztat kapitału nie wycofało, przelewając go z całą gotowością w udział. Techniczne kierownictwo sprawuje pomysłowy i energiczny p. Oplustil, który zdołał skupić pod wywieszony, wysiedleńczy sztandar cechowy około 80 ludzi. Warsztat wyrabia miesięcznie około 2500 par obuwia, a cena od 4 do 15 rb. za parę (wyższą płaci się za obuwie z cholewami, kosztującemi nierzadko nawet na bazarach pół setki) koronuje dzieło i chwali najlepiej jego mistrza.

Na wyróżnienie zasługuje sekcja akademicka, w której związana w Wydział akademicki, składa

młodzież polska zbiorowy egzamin nie z pisanych ksiąg mądrości, lecz z żywej księgi życia. Egzamin wypada summa cum laude i świadczy, że wśród naszej drużyny uniwersyteckiej i technicznej zapuściły silnie korzenie: solidarność i zgodna samopomoc, zamiłowanie do pracy zawodowej i społecznej, wreszcie zmysł organizacyjny, cenne zadatki przyszłych, dojrzałych, twórczych dni. W ciągu roku 1916 zostawała w dyspozycji Wydziału kwota 10764 Rb., którą wydatkowano jaknajcelowiej i najpożyteczniej, żeby tylko wskazać na 203 bezterminowych pożyczek w kwocie 5107 rb., udzielonych na utrzymanie, albo na takichże 88 pożyczek w wysokości 3413 Rb., rozdanych na wpisy do wyższych zakładów naukowych. Mile uderza niska, bo zaledwie 168 Rb. wynosząca kwota na koszty administracyjne, co świadczy, że pożyteczna praca odbywa się bez drogiego aparatu urzędniczego, mając za główny motor bezinteresowność i ofiarną gotowość zrzeszonych członków. W 1916 r. zarejestrowano 278 akademików, dla których wyszukano 139 posad i zajęć zarobkowych. Wydział utrzymuje własne schronisko przy ulicy Ekaterynostawskiej, deleguje zawsze ochoczych członków związku do pracy w ochronkach, kuratoriach, przy zbiorce podatku narodowego i do pomocy w innych organizacjach. Wydział stanowią: pp. A. Zbyszewski, A. de Fimmel, Stanisław Mikłaszewski, oraz kursistki: Irma Doney, Kamińska, Marja Musiałowska i Jadwiga Wojnikoni. Łączność między Wydziałem a głównym Zarządem P. T. P. O. W. utrzymuje p. Felicjan Karśnicki.

Zapodaniem składu Patronatu, do którego należą panowie Ustinowicz, Samolewicz, Białkowski,

Ende, Grabowski, Gralewski, Iwanicki, najtroskliwszy opiekun młodzieży szkolnej, Karśnicki Józef, Kar-chowski, Marczyński, Mianowski, Oplustil, Orszagh, Sawicki, inżynier Sierzputowski, Strycki, D-r Strze-mecki, energiczny i troskliwy przedtem kierownik kolonii polskiej w Zielonym Gaju, Taylor, Toeplitz, Werner, Wlekiński, Żegiestowski, Zenowicz, Ruedi-ger i D-r Opacki—możnaby zamknąć więcej niż po-wierzchny szkic ustroju i działalności P.T.P.O.W.

W Patronacie, którego pracom przewodniczy z obywatelską myślą i serdeczną troską o dobro współrodaków p. Samolewicz, zasiada jeszcze na-der wzięty i poważany p. Stanisław Januś, gwoli utrzymania kontaktu pomiędzy tą instytucją a Pol-skim Lwowskim Komitetem Ratunkowym, który mając siedzibę w Kijowie, posiada filię w Charko-wie, utrzymując tu sekretaryat z p. Mieczysławem Konarskim, jako jego reprezentantem. Komitet lwowski rozciąga wielostronną opiekę nad polakami, poddanymi austriackimi, których skupił w pomysło-wych organizacjach, t. zw. gminach, założonych w pobliżu Charkowa, w Lipowej Roszczy, Wysokim Posiołku i w Ryżowie (przedtem także w Zielonym Gaju i Piesoczynie), nadtem w Sumach, Odessie i w Rostowie nad Donem.

Opiekę nad polakami obco-poddanymi spra-wował ze swojej strony jeden z najczynniejszych polskich stałych mieszkańców Charkowa, p. Józef Karśnicki, z racji piastowania godności wicekonsula amerykańskiego. W konsulacie pracują pp. Świer-czyński, Gralewski, tyle popularny major o typowym obliczu polskiego wiarusa, niosący pomoc jeńcom wojennym, Brzeski, Klimkowicz, Rychter, dalej od

wstąpienia na ziemię rosyjską z zaparciem i zapa-łem pracujący w organizacjach wysiedleńczych Że-giestowski, Lidwin i Moszoro.

W Charkowie ma również siedzibę oddział C. K. O. dla gubernii charkowskiej i taurydzkiej. Pełnomocnikiem jest p. Jan Dylewski, naczelnikiem biura p. Władysław Jędrzejewski, buchalterem p. Pa-weł Czupreta, kasjerem p. Wierzbicki, głównymi reprezentantami spraw szkolnych są pp. Wękwowicz i Zakrzewski. Omawianie szerokiej i owocnej działal-ności Towarzystwa, opiekującego się wysiedleńcami, skupionemi po za Charkowem, przekraczałoby i tak aż nadto wązkie ramy niniejszego artykułu. Rozsia-nych po gubernii charkowskiej 46 zakładów nauko-wo-wychowawczych z 2533 dziećmi stanowić może cenny przyczynek do prac komitetu, na którym spo-czął pełen nadziei i wiary wzrok ogółu z chwilą, gdy z odezwy Tymczasowego Rządu rosyjskiego do narodu polskiego spłynęła zachęta do kładzenia podwalin pod przyszłą naszą państwowość.

* * *

Nie chciałbym być przez najkrótszą bodaj chwilę źle rozumianym. Artykuł mój nie pretenduje do wartości poglądowego bodaj szkicu na życie i działalność odłamu polskiego, zagnanego z górą od wieku do Charkowa. Nie zamierzałem skreślić ani jednego nawet rozdziału polskiej epopei, roz-grywającej się u charkowskiej bramy miejskiej. Wyznaczone z góry szczupłe ramy artykułu wykluc-zały wdzięczną pracę tego rodzaju. Pozwalały one jedynie na zaznaczenie, że żywotny nasz naród i przez garstkę tu osiadłą działał i pracował —

a acz kresowy legion polski na obcych stał kwaterach, umiał jednak urządzić dom swój własny i rozplomić w jego ścianach ojczyście znicze. Stąd i nazwisk nie cytowałem z zamiarem wyczerpania zasłużonych imion, lecz gwoli ożywienia dzierzganego w przelocie ekranu.

Orkan wojny, wstrząsający niejednym cokołem o zda się niezniszczalnej sile — nie zdołał obalić moralnych fundamentów narodowej duszy polskiej,

która w charkowskim ośrodku ujawniła hart nad zwyczajny, może nie o tym blasku, co w innych świetniejszych skupieniach ale o równej sile twórczego fermentu, wznoszącego niejedną złoty liść nadziei na bujne żniwo na odzyskanym ojczystym zagonie.

Chochot.

U KROSNA MELPOMENY.

Kiedy ruchliwy pan Kasztelewicz zjawił się po raz trzeci w mojej ryżowskiej celi — wiedziałem, że Jednodniówki jeszcze nie wydał a tem samem, miał autorskiego honorarjum w pularesie, ma ukryte w zanadru nowe łąso na chude szyje charkowskich pegazów, to też postanowiłem przeliznąć się z ręcznie przez jakieś większe oko wydawniczej sieci tem bardziej, że nie harcowałem nigdy na rodzimem pastwisku w Apollinowem stadzie. Usłyszawszy sakramentalne „przychodzę do Pana jeszcze, aby...” zaoponowałem z miejsca, tłumacząc sympatycznemu gościowi, że już i tak, posłuszny jego żądaniu, wylałem w cieniu obcych buków kilka atramentowych kropli nad przeżywaną dolą i wyłobiliem nieudolnem piórem dziesiątek mogił na dalekiem uroczysku, mającem osnuć żalobnym cieniem ostatnią kartę wydawnictwa. Zabierać głos po raz trzeci, znaczyłoby — pchać się z jarmarcznym tupetem na szpalty z wykoszlawionem Kartezjuszowskiem „jestem, a więc piszę“, co nie leży w moim zamiarze a już najmniej w mojem upodobaniu. „Ale o teatrze

i naszej charkowskiej scenie Pan chyba kilka słów napisze“ — przerwał mi, niezrażony defenzywą, wydawca.

Otrzymałem cios gladiatora. Któż wyrzeknie się łatwo w czasach zwięzłej dziennikarskiej szpalty — wijącej się drukowanym słowem, żeby najciaśniejszej drożyny ku skrzepiającym stokom świątyni Melpomeny. Kto nie zabłądzi w pielgrzymiej ekstazie na Akropolińskie wzgórza, dźwigające na szarych barkach kamienne szczątki ateńskiego teatru Dyonizosa, lub nie zatrzyma się spragniony nad Tybrową falą, u ruin teatru Pompejusza na polu Marsowem.

Niby wiarna straż Alarykowa — wita nas tam bezkrwawy legion wielkich mar, jakie teatr dzisiejszy ożywia zbyt rzadko szminką i kostjumem. Skrzy krwawą rosą wiekowa rdza na Prometeuszowych okowach, świeci nieskalaną bielą próchno ołtarza Pallady, u którego stopni chronił się Orestes przed sądem i zemstą karzących Erinii. Połyskuje pod sceniczną kurzawą tysiące królewski miecz Demofonta, w obronie ciemionych Heraklidów wzniesiony, błyszczący w gwiazdzistej poświacie ofiarna czasza modlącej się u ojcowego grobu Elektry. Niby żywy posąg bólu ze złowrogim wieńcem

gromowych przeznaczeń u szczytowej kolumny, żegna światło słoneczne, brat Hiobowy, Edyp tebański, w sychowskim dworze polskim odnajdujący u Jurandowego drucha własne, w chrześcijańskiej aureoli cierpiące oblicze. W jaskiniowe chłody wstępuje żywcem smutna Antygona, na śmierć okrutną przez zakon królewski za umiłowanie prawa bożego sądzona. Jaki czar świętości promieniował od Sofoklesowskiej bohaterki — dowodem ojcowie kościoła, wołający, mimo całej surowości skostniałej filozofii św. Augustyna, o kanonizację męczeńskiej dziewczynki greckiej a głosy te, apoteozujące wzniosłość cnoty ludzkiej, jakże są pokrewne — mimo zmiennych, zwalczających się na dziejowym rozdrożu wieków idei — z pamiętnym posiedzeniem rzymskiego senatu, obradującego nad złożeniem u pogańskich ołtarzy mistrzowi chrześcijaństwa wielbiącej objaty,

Nietylko żaloszny los wydziedziczonych z ziemskiego Edenu wylewał się łzawym potokiem na starożytnych scenach. Uśmiechały się również z teatralnej deski wesole maski, pozbierane na ateńskim bruku a zręczny humor obyczajowej komedii Menandra rywalizuje ze skrzącym sarkastycz-

nym dowcipem Arystofanesowej komedii politycznej. Wesoly Plautus ukazuje żołnierza-samochwalcę z Miletu, od którego pożyczca Fredrowski Papkin artemizy, a Formion Terentiusa nie opuszczał pracowni niestarzejącego się Moliera. Krwawy deszcz, ociekający w łunie Neronowych pochodni z gladiatorских mieczy na krwawe bruzdy cyrkowego piasku — płoszy antyczne chóry i pływające u obrazu figlarnej Talii rozbawione maski z zamienionej w rzeźnię ludzką areny, grzebiącej wraz z poszarpanem kłębem tygrysim trzewiem ducha i dzieła sztuki.

Wiek średnie nie sprzyjał rozwojowi teatru. Wprawdzie przedstawienia pasyjne, dramatyzujące śmierć Zbawiciela, ściągają tłumy wiernych na religijne widowisko, sam aktor jednak żyje jakgdyby pod nieustającą kłatwą, pozbawiony nawet prawa do poświęconej grudki cmentarnej ziemi. Są to zresztą czasy każące nietylko pomniki sztuki ale i wielkie idee apostołskie, sycone krwią u zdobytych podwoi Chrystusowego grobu, zakłócanie dociekaniem przez sobory dogmatycznej zagadki posiadania przez kobietę duszy ludzkiej.

Już Szekspir, na którego dziełach położył dumny Albion napis: „nie dla jednej

epoki, lecz po wszystkie czasy“ — odslania upokarzający kuglarski kaptur z aktorskiego oblicza, zakwita teatr w ojczyźnie Calderona, czar sztuki osłonecznia bujne życie francuskie, o czym pięknie i głęboko mówi Władysław Günther, przypominając że: „Za rewolucyi i podczas wojen napoleońskich kwitnęła we Francyi sielanka. Gdy dniem sprawowała w Paryżu rządy gilotyna, wieczorem panowała na scenie sztuczna Arkadja z wyobrażeniem niezamąconego szczęścia i naiwnej sielskiej miłości. Zahartowani w bojach grenadjerowie wielkiej armii, powracając chwilowo do domu, roztkliwiali się cierpieniem pasterza, iż jego ukochana wzgardziła przyniesioną przezeń wiązką kwiatów“.

Znaczenie kulturalne i cywilizacyjne teatru rośnie i narody rzucają z czasem na szalę duchowego bogactwa nietylko dzieła mistrzów autorów—ale i mistrzów-wykonawców, pyszną się techniką sceniczną i artystycznym stylem. Prusy i Austria nietylko walczą o miecz Zygfriedowy i cesarskie berło, pochwycone na polach Sadowy w Hohenzollernskie szpony, wydzierają sobie nietylko gospodarczy kilof u bałkańskiej tundry, czy handlową kotwicę u azjatyckiego po-

brzeża, pamiętną pozostanie rywalizacya między berlińskim teatrem Lessinga a wiedeńskim Burgiem, zaś obraz pojonych zwyciężskich rumaków Moltkego w skrwawionych nurtach Sekwany nie zadowolili narodowej ambicyi niemieckiego Michla, marzącego daremnie, by strącić z piedestału sztuki Rostanda i jego wykonawców.

Posiada teatr zwłaszcza doniosłe znaczenie dla narodów, którym podmuch dziejowy wytrącił z sierocy dłoni wolnościową pochodnię. Tu gontyna sztuki musi niejednokrotnie zastępować i *arcem regiam* i elizejskie pole musztry. W pieśni i podaniu wlekącego się przez sioła i sadyby z narodową tamburicą ślepca, wędrownego ludowego aktora, żyła Serbia, gdy po Kosowem polu na sześć wieków do mogiły legła. I Polska — kiedy gromowa *Boga Rodzica* pozostała tylko orlem echem skrzydeł husarskich i nie stało bagnetowych ostrzy, coby tuliły pieśń żywą do stalowego łona o złocistej lawie wolnej, bohaterskiej mocy — musiała widzieć coś więcej w swoich histrionach, aniżeli za widmem sławy goniących sztukmistrzów.

Siostrzyce wierne, smutna Melpomena i wesola Talia, mają u swoich ołtarzy dwo-

jakich kapłanów. Jedni strażują omal że wieczyście u znicza sztuki, teatralna deska jest dla nich życiową kładką, aktorski kostjum szatą powszednią, wyrobniczą bluzą mimo królewskiego gronostaju. Światło kinokietów staje się ich żywiołem i istnieniem, a acz z zejściem aktora ze sceny odchodzą w niepamiętną nicość najśmielsze jego kreacye — kolisko sztuki nie pozostaje nigdy osierocone, płacąc oklaskiem wieczoru za białe dni w artystycznych szprychach miażdżone. Drudzy wstępują na teatralne podium jakgdyby w przelocie, naciągają szychowe płaszcze od niedzieli, kraszą z wypoczynkową rozkoszą złudną szminką twarzy, jutro i pojutrze zapatrzone bez aktorskiej maski w szary warsztat pracy.

Pierwsi to aktorzy zawodowi, drudzy aktorzy-amatorzy, ale i oni — acz stają u teatralnej kulisy w świąteczną godzinę — sprawują obrzędy u artystycznego ołtarza. I ich ręka zdolna potrafić o struny Derwidowej harfy: „co do krwi pędziła rycerze i kładła w miecze dusze nieśmiertelne“ albo położyć rozegrane palce na Dembcowej lirze, wzniesionej — niby gorejący w powietrzu Mojżeszowy krzak kary i zatury — nad palisadą teutońskiej katowni. I z pod

amatorskiej dłoni sypać się mogą zdrowe ziarna soli attyckiej, sączyć kojące krople letejskie, spływać odurzające aromaty świętojańskiego ziela, rozkwitającego najczęściej w kartonowym gaju u scenicznej rampy.

Snujący jesienne przedziwo wrzesień 1915 roku pozwala miejscowemu Zespołowi Kółka Dramatycznego zjawić się na charkowskiej scenie, od szeregu pracowitych lat artystycznej opoce polskiego słowa, w składzie mieszanym. Powiększają się kadry amatorów, zasilone rzuconą na brzeg sceniczny — na koralowy kształt przygnanych wieczorową falą muszli morskich — garścią artystycznych wolentariuszy, magnetyczna kurtyna charkowska przyciąga również zastęp aktorów-profesjonalistów, tu zatrzymujących pchniętą daleko wojennem wiosłem barkę życiową. Przynoszą oni skupionej u domowego posążka Melpomeny drużynie — artystyczne modele i tradycyjną ciągłość gry, pozwalając przekreślić ostrzegawcze *noli tangere* na niejednym egzemplarzu sztuki.

Wspólnymi artystycznymi łańcuchy opasane teatralne kolisko ukazuje w swoim kalejdoskopie: Wyspiańskiego: Sędziów, Bączkowskiego: Wóz Drzymały, Przybył-

skiego: Dzierżawcę z Olesiowa, Ruszkowskiego: Męża z grzeczności, Górczyńskiego: Bagienko, Marlowe'a: Złoty wiek rycerstwa, Staffa: Wawrzyny, Twaina: Historję o człowieku, który redagował gazetę rolniczą, Mickiewicza: Dziady (w wyjątkach), Perzyńskiego: Lekkomyslną siostrę, Wyspiańskiego: Warszawiankę, Fredry: Dożywocie, Rittnera: W małym domku, Zapolskiej: Moralność pani Dulskiej, Jaroszyńskiego: Sąsiadkę, Nikorowicza: W gołębniku, Bałuckiego: Radców pana radcy, Bahra: Koncert, Rydla: Jeńców (akt II-gi), Żuławskiego: Dyktatora (prolog), Wyspiańskiego: Wesele (fragmenty), farsę z angielskiego: Hiszpańską muchę, Sienkiewicza: Hajduczka (w inscenizacji Popławskiego), Tyczyńskiego: tragi-farsę — Nocturn, Topolnickiego: „Dyrektor teatru angażuje“ (revue karykatur teatralnych), krotoczwilę: Bez mężczyzn, Małeckiego: Grochowy Wieniec, Górczyńskiego: W noc lipcową i Kaweckiego: Dramat Kaliny.

Z zawodowych aktorów ożywili zbiorowy organizm sceniczny serdeczną krwią artystyczną, dając niejednokrotnie publiczności złudzenie czarującej pozłoty stołecznej kurtyny: pp. Brokowsy i Karbowscy, Tadeusz Jęjde i Ferdynand Sarnowski. Nie

szczędzili również trudu pp. Topolniccy i Jerzy Rychter.

Ceniony przez wymagająco-surową publikę krakowską, Ferdynand Sarnowski, pożegnał wiosną zeszłego roku Charków, składając w Dziadach, Sędziach i Złotym wieku rycerstwa zadatki żywe niejednej chwili podniosłej, artystycznie doskonałej, jaką obdarzyć tutejszą Polonię nie pozwolił mu stary ulubiony konik rządowy, ukaz wysiedlający.

Osierocili nas również, znani chlubnie aż trzem scenom, bo poznańskiej, lwowskiej i warszawskiej, państwo Brokowsy. Ona — doskonała Jewdocha Wyspiańskiego, niezrównana Helena w Lekkomyslnej siostrze, pomysłowa Dulka, poprawna Elżbieta w Wawrzynach, nakładających piękne, lecz nie mniej ciężkie, artystyczne brzemie na nie-liczne barki wykonawców. On — przepyszny Artur Twain'a, nader udatnie trafiony londyński finansista w Złotym wieku rycerstwa, znakomity epizodyczny szklarz wędrowny Staffa, interesujący Fredrowski Łatka. Gdyby w twórczej jego kanwie nie przewijały się blade nici, związane z Mickiewicza ks. Piotrem, Hilarym Ruszkowskiego i dziadem w wstrząsających Sędziach — możnaby mó-

wić o nieskazitelnym deseniu artystycznym, w szeregu wieczorów z rosnącym ogólnym uznaniem oglądanym.

Wierni pozostają natomiast naszej scenie, obiecując sobie grać tu i w przyszłym sezonie, państwo Karbowscy. Pani Stanisława Karbowska — to talent niecodzienny, godny błyszczeć u wielkiego ołtarza sztuki, obsiadłego nieraz przez szczęśliwsze wybranki fortuny, podtrzymujące za pomocą reklamowej marki i scenicznego stempla nieomyślności — chylącą się pod twórczym przekwitem i artystycznym przesytym, szalę gry. Niepospolita inteligencja aktorska pozwala jej — ilekroć natrafi w rozległym zresztą repertuarze na stosowną rolę — wykrzesać z niej iskry właściwe, odcinające się tak artystycznie od rakietowych ogni, palonych po linii z góry odmierzonej na teatralnej widowni. Bujny temperament sceniczny unosi ją czasem aż nad przepastną krawędź, gdzie lada półton, ruch lub akcent, kończą wirtuozostwo gry i pociągają przezjaskrawionym efektem w rozpadlinę nienaturalnej śmieszności. Pani Karbowska, żeby niewiedzieć jak daleko zaawansowana — nie postawi nigdy fałszywego kroku i to właśnie czyni jej grę tak cenną i interesującą. Na-

der udatna Rózia w Dożywociu, doskonała Marja w Małym domku, znakomita Hanka Zapolskiej, wprost wymarzona panna młoda w Weselu, może wołać śmiało, jako żona Kaliny, o konkursową nagrodę, po za tą mistrzowską rolą jeszcze świetniejsza jako Basia w Hajduczku, opuszczona na scenie dosłownie przez wszystkich, a mimo to bawiąca wybornie przez cały wieczór publiczność, mającą wszelkie prawo uciec jaknajdalej przed skombinowanym przez wywołanych nieopatrnie z grobu Sienkiewiczowskich bohaterów na artystyczne nerwy atakiem.

Pan Józef Karbowski, typ wybitnie intuicyjny, obdarzony głębokiem odczuciem teatralnego stylu i muzycznej rytmiki dramatycznego słowa — usuwa coraz to szczęśliwiej resztki pewnego chropowatego zgrubienia, naniesionego sztucznie a zgoła niepotrzebnie do danej mu szczerze od natury, przepysznej głosowej klawiatury. Bohaterskie role leżą przede wszystkim w zakresie tego bogatego, zbyt długo na artystyczne atomy kawałkowanego talentu, który powinien zestrzelić się corychlej w jedno ognisko i uratować dla polskiego imienia nowe kiedyś nazwisko, rozgłośne, a tak potrzebne wobec co raz to wychodzących

z aktorskich szeregów, koryfeuszy sztuki. Godny najwyższej pochwały za kreację sir Gwidona de Vere Marlowe'a, doskonały w każdym calu jako Stefan Przysiański w Bagienku, jeszcze może lepszy w roli D-r Jura Bahra, niezapomniany Nieznajomy w Dyktatorze, wstrząsający Sworzeń Gorceyńskiego, przepływa więcej niż szczęśliwie literacką Scyllę i artystyczną Charybdę jako Gustaw—Konrad Mickiewicza, osiągając zenit powodzenia w roli mistrza Jana w Wawrzynach. Szkoda, że podejmując się roli gospodarza w Weselu, traktował ją — jak gdyby na komendę afisza — przez pryzmat odtwarzanych fragmentów a nie objął całości kształtu wdzięcznej tej postaci, czem ją skrzywił i skrzywdził. Połowicznie opracował również rolę Kaliny, wnikając grą jedynie w jego dramat życiowy a tylko deklamując — miast go równocześnie tworzyć — o snu tym dramacie pisarskim.

Dla pana Tadeusza Jejzego można mieć zawsze w pogotowiu poklask, chowany zazdrośnie dla wytrawnych aktorów. Zasługuje na to sumiennością opracowanych ról, pomysłanych ze zrozumieniem intencji autorskich, tudzież znastwem charakterów, typów i sytuacji scenicznej, świadczących

chlubnie o wybitnym talencie i rutynie, nabytej na ludowej scenie krakowskiej i w łódzkim teatrze Zelwerowicza. Do sztuki odnosi się pietyzmem, do własnej osoby więcej niż skromnie, dziedzicząc godnie świetlane tradycje, pozostałe w artystycznej spuściznie po nieodżałowanym Juljuszu Jejdem, żywym kamieniu starego Krakowa, cenionym na scenie, kochanym w życiu. Do najcelniejszych kreacji w szeregu zawsze poprawnych, nierzadko doskonałych p. T. Jejzego należy: jakgdyby wycięty z życiowej księgi Bob w Historii o człowieku, który redagował gazetę rolniczą, koncertowo zagrany w Grochowym wieńcu Onufry Kardowski, świetnie pochwycony Antek-kaleka w Lipcowej nocy, przede wszystkim jednak aktor Trybulak w Dramacie Kaliny, zdobywający artyście zaszczytny rekord wśród grających.

Pan Jerzy Rychter, pełen młodzieńczego zapału dla sztuki, zaciągnął się stosunkowo niedawno pod sztandar Melpomeny i musi przede wszystkim opanować ponoszące go często nerwy, wśród czego gubi się z artystyczną szkodą niezaprzeczalny jego nerw sceniczny. Jego malarz Lewicz w Nocy lipcowej i bądź co bądź lepszy dziennikarz Miedzielski w Dramacie Kaliny,

mogą nawet zabawić część publiczności, ale galopują daleko za linię, zakreśloną przez autorów, jaką przekroczyć wolno jedynie weteranowisceny, pojmującemu wszechstronnie aktorskie ryzyko podobnego kroku. Za to, jako poeta w „Weselu“ Wyspiańskiego, zasługuje p. Rychter na pochwałę bez poważniejszych zastrzeżeń.

O amatorach nie pisze się z reguły źle — w sprawiedliwym odczuciu ich artystycznego wolontariuszostwa, niedosiężnej rutyny scenicznej, wdzięcznie przyjmowanej, ofiarnej gotowości stawania w teatralnej szranie, ukazującej nieraz talent, jakgdyby stworzony do życia wśród teatralnych kulis. Uwypukla się przeto jasne strony gry amatorskiej, pomijając z pobłażliwą dyskrecją nieodłączne od światła cienie, dopóki nie zsiądzie przed bronowickim dworkiem z konia, kwalifikujący się raczej na gwiazdora w kółku rodzinnem, albo św. Mikołaja w kasynie pocztowem, Wernyhora w łapciach, z rogiem przyśpilonym — zamiast swobodnego bujania na klasycznym sznurze — szczerlnie do pasa, jakgdyby w przeczulonej, nienauczeniem się roli zwiększonej obawie, aby złoty instrument, zagubiony w trzecim akcie, nie zawieruszył się

już w drugim, dopóki nie stanie, mimo czaru lipcowej nocy, przez całe trzy akty kołkiem na scenie wioskowy dziedzic, albo dopóki nawet Parys wybrałby z artystycznego bagienka raczej zwierzyniecką Baśkę, aniżeli tyle sobie drogie imię.

Zaledwie tych parę, trudnych do rozgrzeszenia przez konfesyonał krytyki śmiertelnych grzechów — świadczy, że naogół zgrzytów artystycznych było mało, zasługuje natomiast większość scenicznych kreacji naszych amatorów — nawet przy dość skrupulatnym osądzie — na szczerą pochwałę. Ujawniały się talenty, wykwitające ponad bezwrażliwością mierność, rysowało się staranne opracowanie ról i pogłębianie aktorskiego kunsztu, rosła w oczach sceniczna sprawność, lutująca harmonizującą się całość, potęgował się zapał do gry, a w cennym dodatku ustalał artystyczny rygor, płochliwy, biały kruk na amatorskiej grzędzie.

Ołowianą kulą, krępującą scenę charkowską w wyborze sztuk — jest niewątpliwie brak bohaterki. Tak starannie dziś unikana na scenie koturnowość, utrudnia pani Gawrońskiej współzawodnictwo o ten pociągający dział ról. Obdarzona przepięknym, o umiarowy ton srebrzystej sygnaturki po-

trającym głosem, pani Luehova — ani umiała do tej pory, jakgdyby w hipnozie patosu, opanować reguł naturalnej wymowy i swobodnej deklamacyi, ani tem mniej wyzwoić się z wadliwego układu ruchów i gestów scenicznych. Jej też jedną i drugą Marję, w Wawrzynach i Warszawiance, przy całym uznaniu dla chęci wniknięcia w jądro i szczegóły roli — do kreacyi udałych zaliczać nie można. Najszcześliwiej wypełniałyby walną, artystyczną lukę, pani Marja Karśnicka, gdyby się dała namówić do częstszych występów. Jej Śwityna promieniowała bogactwem barw, zaczerpniętych z niepospolitej palety artystycznej. Dźwięczna orkiestralność szczerych, bohaterskich tonów, trafne akcentowanie tragicznej udręki miotanej na rozdrożu uczucia i obowiązku duszy, gest i wygląd, popierający nieprzerwanie piękno deklamowanego słowa — stworzyły postać wyżej amatorskiego popisu.

Wyróżniły się talentem i grą: pani Ustinowiczowa, jako amantka, mogąca z łatwością więcej ożywić wrodzonym kobiecym wdziękiem kreowane przez siebie za martwe role, panna Jakobsówna, jako naiwna i subretka, obsypująca prawdziwie artystycznymi perełkami Melę Zapolskiej i Zosię Ni-

korowicza, panna Ordowska, sympatyczna w rolach podlotków. Zadatki niewątpliwego artystycznego daru złożyły również pp. Zawiślakówna w Moralności pani Dulskiej, Owczarenko w farsie Bez mężczyzn i Ottowiczówna w Sędziach, częściowo w Jeńcach, ale już bardzo skąpo w Weselu.

Nadto występowały pp. Chądzyńska, Dasiewiczówna, Fertner, Henneberg, Kalinowska, Markiewiczowa, Nagajewska, Ottowicz, Trzetrzevińska i Żędzianówna.

Jeszcze parę lat — a ćwierć wieku amatorskiej pracy scenicznej z chlubnymi wspomnieniami święcić mogący pan Felicjan Karśnicki, pozwala przyłożyć do swojej twórczości całe ostrze krytycznego szkalpeli, z pod którego wytryska rasowa krew artystyczna. Wysoce uzdolniony, mający wrodzone szlachetne poczucie teatralnego smaku i stylu, fanatycznie przywiązany do sceny — krasi ją doskonałym Dyonizym w Sąsiadce, znakomicie uchwyconym Fredrowskim Orgonem, bez skazy oddanym, tyle trudnym Gorczyńskiego Wojniczkiem, należycie uwypuklonym Mickiewiczowskim kapralem. W Wawrzynach sekunduje dzielnie olśniewającemu w pokrewnej roli p. Karbowskiemu, a w Weselu bije na głowę na-

wet zawodowych aktorów, wykazując w roli dziennikarza największe odczucie artystycznej pomysłowości i wierszowej rytmiki Wyspiańskiego.

Z reszty amatorów pociągają niezaprzeczoną talentem, skarbiąc sobie uznanie przeważnie staranną grą: pp. Hubert, doskonały Bolestaw w Bagienku Gorczyńskiego, ściągający sobie jednak z nieopatrznie przywdzianą kolorową czapkę królewskiego błazna w Złotym wieku rycerstwa przysłowiowy kłopot i artystyczną burzę na głowę; Piotrkowski, zadawalniający w Weselu, niegorszy pacholek Paska w Grochowym wieńcu, w sedno trafiony Łagas Gorczyńskiego, przedewszystkiem jednak po Trybulaku p. Jejdego najlepszy z męskiej połowy Deretkiewicz w Dramacie Kaliny; Reutt, zupełnie udały Czepiec, dobry Gaduła w Lipcowej nocy, czy cechowy w Wawrzynach; Rodakowski, wpatrzaniem się jednak we własne zwierciadło, mocno nadtluczone w Lipcowej nocy a zwłaszcza w Dramacie Kaliny — chyba zniewolony pomysłowiej i żywiej traktować role; Rogowski, wcale ciekawy profesor Tomasz Kaweckiego, wierne narysowany rezydent z Dyktatora; Służewski, więcej niż poprawny piwniczny Bar-

ker Marlowe'a, gdy wyłączyć Sworzenia, najlepszy jako kowal w gminnym, malowniczo na scenie w Lipcowej nocy złożonym kole; Wdziękoński, zasłużony w roli Rafalskiego w Dzierżawcy z Olesiowa i obdarzony pięknym, lirycznym głosem, oddanym śmiało w Dziadach pod sąd publiczności, p. Wścieklica.

Inni amatorzy, jak pp. Drozdowski, Gryglaszewski, Górecki, Janiszewski, Koczorowski, Kostrzeński, Latoszyński, Remer, Szałas, Sobolewski, Ostoja-Starzewski, Zygmuntowicz i mały Jaś Smeszko, dostrajali się jak umieli i mogli, do artystycznego zespołu.

Nadmienić wypada, że pp. Józef Dobrzyński jako sufler, Kostrzeński, jako inspicjent, Wierciak, jako dekorator, Iżykiewicz, jako fryzjer, Cmokowski, jako krawiec, stali wytrwale na posterunkach i wypełniali najsumienniejsze techniczne swoje obowiązki. Szczególnie p. Dobrzyński pełnił suflerskie obowiązki raczej dla wypełnienia braku tej niezbędnej siły technicznej, sam zresztą składając parokrotnie dowody, żeby tylko przypomnieć Noc lipcową, posiadanych aktorskich kwalifikacji.

Reżyserję dzielili zrazu między siebie naprzemian pp. Brokowski i Karbowski,

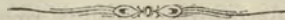
później sprawował ją już ostatni o tyle niepodzielnie, o ile na to pozwalała artystyczna skrzętność p. Karśnickiego, który, jako kierownik teatru, interesował się każdą jego stroną. Nie miało natomiast głębszej racji, usunięte też z afisza, literackie kierownictwo, jedynie na większej scenie pożądana busola teatralna.

Publiczność, czego dostatecznie wprost nachwalić nie można, dopisywała z reguły zawsze i znaczyła tem najwymowniej szczerę uznanie dla artystycznego znoju Zespołu.

Szczerłość, dla jakiej chowanka pod korcem byłaby zgoła nie na miejscu, nie pozwala nie wyrazić głębokiego żalu, że bynajmniej nie wązkie skrzydło rojnego teatralnego namiotu — pozostało przecież zamkniętem dla zawodowych aktorów tej

miary, co Wojciech Wróblewski, głośny monologista, mistrz typów, niezastąpionemu zresztą Gustawowi Fiszerowi jeden z bliższych, cenny komik warszawski, Władysław Bratkiewicz i chyba nie do pogardzenia, utalentowany, znany amant Stanisław Kubiński. Wszyscy trzej zasiedzieli się już dość długo artystycznie beczynniami w Charkowie — a mimo to nie okazało się możliwem wprządz ich w rydwan wspólnej pracy. Dociekać winy tego rozdwojenia na dnie słabostek i małoszkowych zawiści koleżeńskich nie leży w mojej intencji. Wybrałem się bowiem na parogodzinną zadumę — jako chętny widz gry aktorów, a nie sędzia ich charakterów.

Alfred Brandowski.



Z przyszłych zadań.

Prawie sto lat temu, dzięki nieugiętemu charakterowi i niespożytej energii wielkiego obywatela Polski, ministra Lubeckiego, powstawała w Warszawie instytucja, której działalność i wpływy na długie dziesiątki lat miały dla kraju naszego doniosłe znaczenie.

Instytucją tą był Bank Polski.

Powołany do życia prawie w przeddzień rewolucji listopadowej, nie tylko przetrwał on, zawdzięczając to umiejętnemu kierownictwu, poczuciu obywatelskiemu i gorącemu patriotyzmowi ludzi stojących na jego czele, ciężkie chwile narodowej katastrofy, lecz i zdołał utrzymać dźwignięty przez siebie przemysł i rozwijać w dalszym ciągu handel.

Dopiero mroźne poddmuchy zzewnątrz doprowadziły go stopniowo do skostnienia, a reakcyjna polityka rządu położyła kres jego istnieniu w 1885 r.

„Wykwitł“ Bank Polski „na zachwaszczonej niwie“ — jak mówi H. Radziszewski, lecz przez względnie krótką działalność swoją zamienił ją na urodzajną glebę i do-

wiódł dobitnie i nieodwołalnie mocy i niezwykłego zmysłu organizacyjnego narodu polskiego, któremu tak uporczywie zaprzeczano.

Wytykano nam zawsze niezaradność i nieudolność specjalnie w dziedzinie handlu i przemysłu, powołując się na tradycje szlachty polskiej, która miała jakoby tamować ekonomiczny rozwój kraju. Bezpodstawne to twierdzenie zostało chyba dostatecznie obalone przez wspaniałą wprost organizację i działalność Banku Polskiego, który pomimo wszelkich stawianych mu przeszkód potrafił zadośćuczynić najważniejszym potrzebom kraju i zyskał powszechny szacunek i zaufanie na zachodzie. Dowodem tego może być choćby pożyczka 4-ch milionów funtów szterlingów, zaciągnięta przez Bank na obronę kraju.

Dzisiaj, gdy po długoletniej przymusowej śpiączce kraj nasz wskutek niesłychanych przewrotów budzi się do nowego życia, gdy odradzają się jedna po drugiej polskie instytucje państwowe i społeczne, gdy Polska lada dzień zajmie znów należne jej stanowisko między narodami świata — obraz tej drogiej dla kraju instytucji staje przed naszymi oczyma i mając przykłady

energii i hartu ducha, wykazywane przez Polskę w obecnych niesłychanie ciężkich warunkach, wierzymy, że znajdą się naśladowcy Lubeckich, Łubieńskich i in., godni odbudowy i prowadzenia nadal tego przed wiekiem rozpoczętego dzieła.

Przed przyszłym Bankiem Polskim, który powstawać będzie w warunkach niezawodnie trudniejszych, niż jego poprzednik, ze względu na olbrzymie wycieńczenie kraju przez wojnę obecną, roztacza się ogromne pole pracy, jak przy odbudowie kraju, tak i w dziedzinie handlowo-przemysłowej.

Mając doskonały pierwowzór, przyszły Bank Narodowy będzie miał wielkiej wagi zadanie — tworzenia nowych gałęzi przemysłu, odrestaurowania starych i zaniedbanych i popierania słabych. Pod tym względem wiele jest do wykonania, że wspomnę tylko o eksploatacji bogactw mineralnych, jak cynku i siarki, których pokłady dorównują najbogatszym w Europie. Oczywiście, niepodobna obecnie jeszcze przewidzieć jakich gałęzi przemysłu rozwój będzie najbardziej wskazany, gdyż zależy to od stosunków międzynarodowych, które się wytworzą po obecnej wojnie. Jedno wszakże można powiedzieć, że przemysł nasz wi-

nien w przyszłości opierać się przedewszystkiem na przetwarzaniu bogactw krajowych, gdyż każdy inny będzie tą sztuczną rośliną, która przy pewnych niekorzystnych warunkach może zamrzeć, przyczyniając szkody dobrobytowi kraju.

Podobnie przedstawia się kwestya przyszłego handlu polskiego. Można tylko robić przypuszczenia co do kierunku, w jakim pójdzie nasz handel zagraniczny, będzie on również jak i przemysł, uwarunkowany przez ogólną sytuację polityczną. Wieczna obawa: straty rynków zbytu na Wschodzie — z jednej strony, i zalewu Polski przez tanie towary zachodnie — z drugiej, zostanie pozbawioną wszelkiej podstawy po wszechświatowej katastrofie, jaką przeżywamy. I tutaj wydaje się wielce słuszną poruszana nieraz, w ostatnich czasach, zasada jaknajwiększego rozwinięcia handlu wewnątrz kraju. Przywóz wielu produktów z zagranicy byłby zbyt cenny, gdyby nasz przemysł był więcej przystosowany do wymagań rynków krajowych i gdyby komunikacja wewnątrz kraju stała na wyższym poziomie.

Idąc śladami Banku Polskiego przyszły Bank Narodowy winien będzie rozwiązać niejedno zagadnienie, dotyczące kwestyi ko-

munikacji lądowej, a szczególnie wodnej, która znajduje się w opłakanym stanie. Tutaj praca jest dopiero do rozpoczęcia; regulacja rzek (przedewszystkiem Wisły) i budowa kanałów (np. między Wisłą a Bugiem - Narwią i Wisłą a Wartą) wyrze wprost nieobliczalne skutki na dobrobyt kraju. Niemniej ważną jest sprawa dróg bitych i żelaznych, przeprowadzanych dotychczas w wielu razach w celach strategicznych i przez to pozbawionych znaczenia dla gospodarki krajowej.

Oparty na świetnych tradycjach Banku Polskiego, który w każdej z wyżej wspomnianych dziedzin: przemysłu, handlu i komunikacji — pozostawił niezatarte ślady i czerpiąc soki z żywotnych sił narodu, winien przyszły Bank Narodowy stać się jednym z podstawowych filarów odradzającej się Rzeczpospolitej.

Wacław Belina-Brzozowski.

ŻAŁOBNA MOZAIKA

Przebiegająca w błyskawicowym pióropuszu niezliczonych ostrz bagnetowych, zasypująca wprost fantastyczne obszary buchającą z armatnich kraterów lawiną szrapneli, wichura wojenna, nietylko zaczerwieniła krwią polskie rzeki. Drgnęła smutna toń wód nietylko pod pluskiem bijących o szklane tafle kul, ale ugięła się także pod żalosnym skrzyphem wiosel, wyprężonych u łodzi, unoszących ku styksowym ostrowiom całe plejady dusz, wyzwolonych z pęt ciała, rażonego grotem śmierci, mimo oszczędzenia przez miecz wojny. A głęboko pograżał się w wiślaną fałę, sięgając najczystszonego dna narodowej duszy polskiej, charonowy korab, raz wraz wstępował na czarną jego burtę duch jasny, osierocając domowe atrium i publiczne forum. Napięte do najwyższego tonu czucia i najgórniejszej skali męki duchowe struny umysłów wzniosłych i głębokich targały się i milkły na wieki.

Na czoło smutnego korowodu tych, którym nie było danem doczekać święta pojednania ginących pod żelazną stopą wojny narodów, wysuwa się **HENRYK SIENKIEWICZ**, w piórze — największy powieściopisarz polski, w czynie — pierwszy obywatel kraju. To też ogrom tej straty przewyższa wszystkie inne i gdybyśmy w tej wojnie pod własnymi walczyli sztandarami, tylko przegraną batalię

moglibyśmy postawić wyżej klęski, spadłej na naród polski w dniu śmierci genialnego pisarza, ukazującego światu prawdziwe, mimo gwałtem narzucanych masek, oblicze ojczyzny.

Zapaloną Chrystusowem tchnieniem nad ruinami pogańskiego Panteonu i obalonymi słupami starożytnego ładu, trójpochodnię cnót obiecaney — wiarę, nadzieję i miłość — obramował Sienkiewicz w klejnoty duszy polskiej i ukazał odbłask przeczystej trójcy gwiazd w zwierciadle dziejów oczyszczonych, ugruntował słoneczne przymierze własnego narodu z wieczystymi prawdami, niosącymi tryumf sprawiedliwości. Gdy Mickiewicz, odczuwając w wstrząsającej improwizacji ból za całą narodową rzeszę — wyzwał Opatrzność na bój serca, nie zeszedł Sienkiewicz nigdy z jasnego brzegu i szukał u serca Opatrzności blasków pociechy i drgnień świetlistych, niedopuszczających zwątpienia. Wierzył w auxilia boskie w życiu narodu i człowieka.

Kiedy druchini wojny, nędza, poczęła coraz bezlitośniej przygniatać nasz naród, popłynęły, na płomienny apel Sienkiewicza, ze wszystkich zakątków świata strugi złota dla umęczonej polskiej ziemi. Była to nietylko jałmużna narodów dla krainy mogił i krzyży, lecz i królewska spłata cudzoziemskiego długu autorowi za górne chwile, spędzone nad tomami jego dzieł, tłómaczonych na wszystkie języki.

Jak laska Mojżeszowa wysunęła się z obumarłej, proroczej dłoni na piaskach dalekiej pustyni, tak i Sienkiewiczowskiemu pióru, z pod którego płynęła duchowa manna złocista, wytryskała ożywcza dla serc krynica, nie będzie już danem zapoczątkować podpisów najlepszych synów ojczyzny na znowu wolnej karcie jej dziejów. Ale wdzięczny naród zachowa na wieki pamięć ostatniego duchowego księcia Polski podległej i jak niegdyś miasta greckie wadziły się o kotłuskę Homera, tak polskie grody wieść będą spór o sarkofag Sienkiewicza.

Kiedy żałobna wieść o zgonie wielkiego pisarza przedarła się do ojczyzny, złożył cały naród hołd jego pamięci. Chyliły się rektorskie berła i biskupie pastorały, załopotwały cechowe chorągwie i robotnicze sztandary, czerwień karmazynów zmieszła się w jednym orszaku z bielą włóściańskiej sukmany. Od połączanej kopuły katedralnej do pochylonej w najzapadlejszej wioszczynie kaplicznej wieżycy, odezwały się śpiżowe serca wszystkich dzwonów polskich, milczały tylko strącone ze swoich szczytów i wywiezione pod obce zacisze.

I Charków uczcił w dniu 24 stycznia (6 lutego) 1917 duchową objatą pamięć genialnego pisarza i jasnego, wskrzesicielskiego ducha cierpiącej ojczyzny. Hołd zaś pośmiertny złożony wielkiemu mistrzowi tem uroczyściej i silniej wystrzelił ponad wiele innych, że przyjął w nim udział głośny poeta,

Leopold Staff, którego miasto ma zaszczyt gościć w swoich murach, w posepnych dniach wojny. Z młodych polskich bardów Staff właśnie wysokie posiadał kwalifikacje na ofiarnika ostatniej duchowej posługi, z jaką podążyła, w zatroskanej myśli, charkowska Polonia do drogiej trumny, dodającej blasku przestawnej ziemi wolnych Szwajcarów. Ten Staff, który ustroił w majowe ciepło i opalowy smętek jesienny miłosnych strun Orfeuszowych przedziwną skrzypkę grajka Godiwy i zasłonił lutnią Tyrtejowych gromów, niby niemilknącą strażą, wyżyny ideału przed „wichrami z dolin“. Składając hołd cieniem i księgom mistrza, drugi z kolei, D-r Teodor Mianowski, wytrawny i wytworny pedagog lwowski, niestrudzony bojownik o unowocześnienie polskiego szkolnictwa, mógł, obok wypowiedzianych głębokich myśli i słów podniosłych, złożyć nieśmiertelnemu pisarzowi w dani całą gromadę serc młodocianych, kształconych przez siebie w myśl narodowej, Sienkiewiczowskiej ewangelii.

Dotkliwy wyłom w duchowym stanie naszego posiadania wyźłobiła śmierć **JÓZEFA MILEWSKIEGO**, głębokiego uczonego, znakomitego ekonomisty i polityka, którego imię, gdyby mu działać było danem nieskrępowanie we własnym państwie, zapisałyby światowe kroniki na równi z nazwiskami wielkich mężów stanu. Zrazu profesor krakowskiej „Almae Matris“, później jeden z dyrekto-

rów Banku Krajowego we Lwowie, poseł do wiedeńskiego parlamentu i sejmu galicyjskiego, kładł Milewski pod swoje dzieła nie tylko granit rozumu i wiedzy, ale i tęczę gorącego uczucia, płynącego z płomiennej miłości ojczyzny i szczytnego pojmowania wagi i celu służby publicznej.

Zmarły głosił, że największym skarbem narodu jest ziemia i nawoływał do jej pielęgnowania. Przestrzegał zarówno przed skupianiem ogromnych latifundyów, jak i przed fatalnym rozdrabnianiem ziemi. Znakomitszego znawcy polityki agrarnej nie posiadał też naukowy świat polski przed Milewskim, a gdy w wiedeńskiej Radzie Państwa miały się ważyć losy epokowej dla rozwoju rolnictwa ustawy o kredycie melioracyjnym, powierzono jemu właśnie najważniejszy referat w tej sprawie. Pół duszy uczonego i polityka poświęcił zagadnieniom agrarnym, drugą połowę oddał w usługi zawilej kwestyi waluty i gdy europejskie koła uczone i gabinety ministerjalne skłaniały się coraz bardziej na stronę złota, bronił Milewski, wskazując na kwitnącą Francję i unię łacińską, równych praw srebrnego pieniądza, a praktyczne próby ze złotą walutą wykazały dosadnie trafność sądu człowieka, któremu możnaby ze spokojem powierzyć organizację polskiego skarbu. Daleko też, po za krakowską aulę uniwersytecką i wiedeńską trybunę parlamentarną, rozeszło się imię Milewskiego, jako obrońcy bimetalizmu.

Tyłu polityków galicyjskich wiodący do zapoznania obowiązków krajowych, frak ministerjalny, nie skusił złotym haftem Milewskiego, zawsze wiernego programowi autonomistów polskich, których stał się rychło i pozostał usque ad finem najchlubniejszym filarem.

Dotkliwie osierocił naukowy, polityczny i społeczny świat polski zgasły **ZYGMUNT BALICKI**, po światowej sławy Ludwiku Gumpłowiczu, najznakomitszy socjolog polski, autor dzieł wiekowej wartości, żeby wymienić jego „Parlamentaryzm“, „Egoizm narodowy wobec etyki“, „Hedonizm i Epikureizm“ i najcelniejszą „Psychologię społeczną“. Głęboko ważący i z wirtuozostwem precyzujący zagadnienia polityczne i społeczne, obdarzony wprost niespożytą siłą argumentacji, ruchliwy i twórczy, był Balicki nie tylko jasną gwiazdą wiedzy polskiej, ale także żywą pochodnią politycznego czynu. Pozostawił też po sobie bogaty, narodowy testament, z którego najpóźniejsze pokolenia będą mogły czerpać idee i metody, cele i środki, przybliżając przez to i mnożąc rozkwit ojczysty i społeczną harmonię.

Żal wielki wywołała wiadomość o śmierci **HENRYKA ŚWIĘCICKIEGO**, posła do Dumy z gubernii wileńskiej, wypróbowanego patrioty i niecodziennej miary obywatela. Święcicki poświęcił wybitne swoje zdolności wciąż jeszcze leżącym odłogiem sprawom komunikacyjnym i zastąpił jako

znawca i promotor chromającego w Rosyi kolejnictwa. Podwójnie odczuwa tę stratę polski świat wygnańczy, któremu zmarły podał, wcześniej od innych, pomocną dłoń, organizując akcyę ratowniczą pod dewizą „bis dat, qui cito dat“.

Kto rozumie, jak potężną dźwignią narodowego i kulturalnego życia jest teatr, musiał głęboko się zatroskać, gdy wyczytał, że zmarł **TADEUSZ PAWLIKOWSKI**, tyle zasłużony dyrektor scen: krakowskiej i lwowskiej, które przeżyły za jego rządów swój wiek złoty, pnąc się szeregiem granych sztuk realistycznych, w których wystawieniu zmarły był niedoścignionym mistrzem, na wyżyny światowej sławy europejskich teatrów. Pawlikowskiemu zawdzięcza teatr polski także realistyczny kierunek gry, szkolony przez Manheimczyków, a wyceLOWANY przez paryskiego Antoina, usuwający ze scenicznych desek aktora patosu i pozy, tego zwróconego do publiczności człowieka z Parnasu, a wprowadzający w jego miejsce człowieka żywego, grającego więcej dla samej sztuki, poświęcającego efekt osobisty ogólnej sytuacji scenicznej. W artystycznej cieplarni Pawlikowskiego rozkwitały pierwszorzędne talenty, jak wyolbrzymioną intuicyją aktorską olśniewający Roman, wirtuozostwem refleksyjnego skupienia zadziwiający Kamiński, czarująca Bednarzewska, rozgłośna Węgrzynowa, niezdejmująca palmowego wieńca z czoła Solska.

Za dyrektury Pawlikowskiego pojawiają się na polskich deskach teatralnych arcydzieła pisarzy zagranicznych tej sławy, co Maeterlink, Hauptman, Ibsen, Stringberg, Sheridan, trafnie angielskim MoliereM zwany, pojawiają się zaś w oprawie scenicznej, godnej siebie, przynoszącej prawdziwy zaszczyt subtelnemu zmysłowi estetycznemu i artystycznemu znastwu zmarłego.

Zarzuca krytyka Pawlikowskiemu, że w apoteozie cywilizacyjnej misji teatru zatracił niekiedy jego narodowe posłannictwo. Mógłby, w odpowiedzi na to, wskazać męż zasłużony na nazwiska prze-ważnie żyjącej i dalsze znakomite dzieła rokującej, młodszej generacji polskich autorów, jak: Staff, Rydel, Przybyszewski, Kawecki, Szutkiewicz, Kisielewski, Żuławski, których utwory wystawiał z pietyzmem i przez to talenty zachęcał, ukrzepiał i rozwijał. Mógłby, wskazać z dumą na wielki repertuar naszych romantyków, ujęty przez siebie w przepyszne sceniczne ramy. Mógłby wreszcie przypomnieć, że ubóstwo naszej twórczości muzycznej skłoniło go do wystawienia z wielkim nakładem i mozołem nawet tak mało udatnych oper kompozytorów polskich, jak Skirmunta „Pan Wołodyjowski“, lub Dłuskiego „Urvasi“. Był on raczej kapłanem o szacie doskonałej, dbałym, by w powierzonej mu świątyni, prócz malowanych złocieni i kolorowych witraży, płomieniała niegasnąca iskra prawdziwej

sztuki, której w ofierze złożył całe swoje duchowe mienie i milionową fortunę.

Podwójnym ciosem godzi w nasze serca przedwczesny zgon **WŁADYSŁAWA ŻUKOWSKIEGO**, posługującego ongi do Piotrogradu z ziemi Piotrkowskiej, pioniera krajowego przemysłu, bogato wyposażonego w obywatelskie cnoty społecznego działacza. Zmarły rozumiał, że minioną chwała narodu — to wspaniała cisza słońca, które zaszło i zużyło cudowną siłę twórczego, świetlnego fermentu. Odrodzicielski świt widział w dobrobycie kraju i dlatego nawoływał do budowy potężnych twierdz polskiego przemysłu i sam kładł pod nie silne podstawy. Powodzenie wieńczyło przedsięwzięte przez niego dzieła, a górnictwo polskie zachowało, jako niestrudzonego przewodnika i opiekuna, na zawsze we wdzięcznej pamięci.

Kiedy wojna rozsypała nas, niby bezbronne liście, po obszarach rosyjskiego imperium, — stanął zmarły w pierwszym szeregu patriotów, rozumiejących, że opustoszałe ruiny i zgliszcza zakwitną rychło nowym życiem, o ile się uda uratować ludność polską przed zatrącią. Dopomagał do jej chronienia całą duszą, widząc w tułaczkiej fali ludzkiej brać cierpiącą i żywą siłę narodu.

Żalobne kiry rzuca na ekran polskiego malarstwa i cenne herbaryum krytycznych myśli o ma-

larskiej sztuce śmierć **STANISŁAWA WITKIEWICZA**, kojarzącego pędzel i pióro w usługach ojczyściej muzy. Artysta-malarz o talencie wybitnym, oryginalnym, zasłynął głównie z tatrzańskich motywów, wychylających się śmiało z jego krajobrazów górskich, widoków zakopiańskich, postaci i twarzy góralskich, z których sam tylko znakomity portret Sabały pozwala mu zająć poczesne miejsce w Apellesowem gronie.

Olśniewający stylistyką, pisarski talent krytyczno-estetyczny zmarłego przewyższył jednak więtość jego obrazów. Z pod pióra Witkiewicza wychodzą z zakresu sztuki malarskiej dzieła tak znakomite, jak: „Dziwny człowiek“, „Studium o Matejce“, a przede wszystkim „Sztuka i krytyka“. Zmarły odsłaniał nowe horyzonty samej metodzie krytyki sztuki i gdy polski świat krytyczny z warszawskim Struwem na czele wciąż jeszcze hołdował szablonowemu podziałowi malarstwa na wyższe i niższe, zaliczając do pierwszego malarstwo religijne i historyczne — wykazywał Witkiewicz, polemista niezrównany, że nie treść obrazu, ale jego wykonanie, nie fabuła malarska, lecz siła pędzla decydują o stopniu doskonałości sztuki. Witkiewicz też ocenia najtrafniej piękno arcydzieł wielkiego Matejki, światowego rozgłosu Juliusza Kossaka i bajecznego Gierymskiego; on także objaśnia barwność i kolorystykę poezji Mickiewicza, a żłobiąc stylom swoj-

skim dostęp na wyżyny sztuki, zdobywa sam chlubne miejsce na polskim Parnasie.

Żal ziemi siedleckiej, tracącej przez śmierć **LUBOMIRA DYMSZY** najgodniejszego orędownika w Dumie rosyjskiej, udzielił się całemu polskiemu społeczeństwu, z którego szeregów ubył gorliwy patriota i śmiały polityk, tem popularniejszy, że wolny w swoich wystąpieniach i czynach od osadu partyjności. Nie zapomni mu wdzięczna ojczyzna, że rzucił dla niej tyle kuszącą profesorską togę i związane z nią szczeble rządowej drabiny, poświęcając się na usługi kraju. Jak zaś umiał służyć nie połową, ale całą duszą, przypomną najlepiej jego płomienne filipiki w sprawie chełmskiej.

Zgasły w Miechowszczyźnie **JAN BIELAWSKI** osieraca włościańskie rzesze, które formował szcзыtnym przykładem w narodowe kadry. Z małej wioskowej zagrody umiał objąć cały ojczysty obszar, który ukochał gorąco i kochać kazał siermiężnej braci od kosy i pługą. Rozumiejąc, że wieś polska nie zobaczy, bez pochodni oświaty, lepszego jutra, krzewił ruch oświatowy i kulturalny z młodzieńczym zapałem. Posłował do Piotrogradu z gubernii kieleckiej, zasilal artykułami ludową prasę, ruchliwy, ofiarny i twórczy, zbrojny nie w demagogię, lecz piastową cnotę, był zmarły jednym z tych walnych kamieni, rzuconych ręką Opatrzności na narodowy szaniec.

Smutek obozu stronnictwa polityki realnej, tracącego ze śmiercią **HENRYKA DEMBIŃSKIEGO** jednego z przewodców, podziela kraj cały, ceniący w zmarłym kryształowy charakter i głęboką wiedzę polityczno-społeczną. Przymioty te zdobyły ongi Dembińskiemu w ziemi radomskiej mandat poselski, który piastował z pożytkiem dla kraju, torującego sobie z mazołem, po przez ciernie i kłody, drogę do należnego mu rozwoju.

Obywatelski hart i mrówcza pracowitość, cechujące zdawna **STANISŁAWA GLEZMERA**, zdawały się dwoić i troić z chwilą zakolałania gnanego wojenną burzą milionowego odłamu naszego narodu o pomoc i ratunek. Glezmer odczuwał cały ogrom niedoli, towarzyszącej — jak cień złowrogi — wygnaniu, rozumiał doniosłość każdej akcji, zdolnej stępić ostrze i zmniejszyć koło ofiar tułaczego losu. Widział jaśniej i głosił śmieiej od innych obowiązki państwa wobec ofiar wojny i domagał się w Piotrogradzie, częściowo tylko ze skutkiem, szerokiego otwarcia rządowej szkatuły na potrzeby wysiedleńców. Był naszym najlepszym opiekunem, tkliwym i serdecznym a miłosna dbałość, jaką otoczył rozprószoną na obczyźnie dziatwę polską, nie pozwala dziś bez wzruszenia zatrzymać się u jego mogiły. W sercach też matek polskich ma usypany trwały kopiec, starczący za wszelkie zamawiane nagrobki.

Mieszczkański świat stracił godnego jego pięknych tradycji przedstawiciela, a Lwów Nestora swojego kupiectwa w osobie zgasłego **EDMUNDA RIEDLA**, niezasklepiającego się, mimo daru świetnej kalkulacji, w handlowych cyfrach, ale zawsze gotowego do pracy i ofiary dla ogólnego dobra. Handel jego był najwzorowszą szkołą dla młodych ochotników z pod znaku wagi i łokcia, szukających w kupieckim zawodzie uśmiechu fortuny, a tak dobrze znany i przez Lwów chętnie nawiedzany dom Riedla — ostoją polskiej myśli obywatelskiej.

Świeżo nadeszłe wiadomości z Krakowa każą nam uronić serdeczną łzę żalu nad trumną **FRYDERYKA ZOLLA**. Legł w grobie człowiek niescho dzący długo, mimo brzemienia lat, z publicznej areny, zajmujący niektóre z jej szczebli aż do ostatnich chwil życia. Dzierżąc katedrę ustawodawstwa rzymskiego, strażował wiernie przez lat dziesiątki w prastarej jagiellońskiej wszechnicy nad otwartymi od wieków księgami dominującej wiedzy praktycznej, jednającej ojczystemu miastu Papiniana i Gaja zaszczytne imię kolebki prawa prywatnego, przeniesionego niemal żywcem do nowożytnych kodeksów. Wybór profesorskiego collegium zdołał go parokrotnie rektorskim szkarłatem, a na wysokim stanowisku wiceprezesa krakowskiej akademii umiejętności przewodniczył owocnie najwyższemu areopagowi wiedzy polskiej. Poseł na sejm krajowy i czło-

nek wiedeńskiej izby panów, brał wybitny udział w pracach ustawodawczych, przenosząc mrówczą działalność w pożytecznych komisjach nad retoryczne popisy na parlamentarnej estradzie.

Naukowym duchem twórczym nie dorównał głośnemu Źródłowskiemu, godnemu jaśnieć w plejadzie romanistów tego blasku, co Sawigny, Windszeid, lub autor wiekopomnego dzieła o „Duchu prawa rzymskiego”, Rudolf Ihering. Pozostawił wszelako po sobie cenną spuściznę naukową i wychował całe pokolenie prawników polskich, ofiarowując krakowskiej młodzieży nie tylko przez pół wieku niesioną pochodnię wiedzy, ale i przedziwnie dobre ojcowskie serce, jednające mu popularny na uniwersytecie przydomek „papy—Zolla”.

Wojenny płomień spopielił domowe postumenty, co mieć się zdały, jeżeli nie barwny połysk wyższej granicy, to bodaj bezpieczną trwałość milowego kamienia, znaczącego powszedni kierunek życiowego przegonu. Czy przypuszczałem, wsłuchując się ongi w słowa umiłowanego profesora, wykładającego o słynnym naukowym sporze Prokulejanów z Sabinianami na temat wyższości pracy ludzkiej nad kapitałem, że minie zaledwie lat dwadzieścia, a będę świadkiem na dalekiej obczyźnie milionową wolą żywą rozplamieniąjącego, wielkiego socjalnego problemu — i rzucę aż stąd wdzięczną grudkę ziemi na sypaną w cieniu rakowickich szpalerów mogiłę.

Wzrok błędzący, po charkowskim cmentarzu, zatrzymuje się mimo woli u skromnej mogiły **KAROLA SAMULSKIEGO**, którego nazwisko głośniejszem, bliższem nam robi dopiero śmierć na obczyźnie, podwójnie smutna i żałobna. Wysiedlony z Warszawy, gdzie pozostawił rodzinę, brał Samulski udział w pracach charkowskiego Patronatu, a każdy, kto się z nim zetknął, musiał podziwiać to ciche, gołębie serce, które bić przestało zdala od najbliższych. Tyfus brzuszny powalił go na łożo, a domem w ostatnich chwilach życia był mu obcy szpital z całym swoim podzwonnem bliskich, a jednak tak dalekich cmentarnych wrót. Subtelne uczucie garstki znajomych i kolegów, a może i smutne „tibi hodie, cras mihi“ kazało pochować zmarłego w trumnie, przystosowanej do ekshumacji i przewiezienia zwłok, gdy ziemia krwawą rosę pić przestanie — na warszawskie Powązki.

Oto garść tylko imion i nazwisk z liczby tych, co zalegli cmentarze, drobna żałobna wiązanka polskich chryzantemów, — a przecież ona nawet świadczy, że niema u nas stanu, niema zawodu, oszczędzonego przez śmierć, idącą nieodstępnie przy kolisku ludzkiego żywota. By oddać pod straż zasłużonego napisu przypomniane tu imiona, różnych trzebaby użyć ozdób i symbolów, od djamentowego pióra do żelaznej kielni, od mosiężnej wagi do złotej księgi, od pszenicznego kłosa do dębowego wieńca. Lecz, gdy wszyscy stali, mimo szat różnolitych, w walce polskiego Ormuzda z Arymanem po stronie ducha jasności — kładzie im dłoń potomna wspólny, ewangeliczny napis mogilny: „Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci koronę żywota“.

D-r Alfred Brandowski.

Spis rzeczy.

LUK TRYUMFALNY. W setną rocznicę zgonu Tadeusza Kościuszki — <i>Jerzy Bandrowski</i>	3	* * * wiersz — <i>Józef Karbowski</i>	41
TRAGIZM NARODU POLSKIEGO — <i>Janusz Samolewicz</i>	8	ZNACZENIE KONSTITUCJI 3 MAJA WOBEC CHWILI DZISIEJSZEJ — <i>Awicz.</i>	42
NOSTALGJA — <i>Janina Waściszakowska</i>	15	MODLITWA — <i>Eugenjusz Swierczewski</i>	48
MODLITWA WYGNAŃCÓW, kopja z obrazu <i>Władysława Brecha</i>	17	W KIRGISKICH STEPACH — <i>E. J. Boehm.</i>	49
WYGNANIEC — <i>E. J. Boehm</i>	19	W NOC CUDU — <i>Jerzy Rychter</i>	53
SUB TEGMINE FAGI... LUGENTIS — <i>D-r Alfred Brandowski</i>	20	KLAWIATURA ŚMIERCI (etiuda) — <i>Jerzy Bandrowski.</i>	55
GLUPI MARCIN Z PODE LWOWA— <i>Eugenjusz Swierczewski</i>	26	POLONIA W CHARKOWIE — <i>Chochół</i>	62
ŁABĘDZIE — <i>Jerzy Bandrowski</i>	29	U KROSNA MELPOMENY — <i>Alfred Brandowski.</i>	77
SZLAKIEM JUTRA— <i>Leon Waściszakowski.</i>	35	Z PRZYSZŁYCH ZADAŃ — <i>Wacław Belina-Brzozowski.</i>	88
MATKO — <i>Jerzy Rychter</i>	39	ŻAŁOBNA MOZAIKA — <i>D-r Alfred Brandowski.</i>	91

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PA
BIBLIOTEKA
 00-330 Warszawa, ul. Mławy Świat 72
 Tel. 26-55-53

Towarzystwo Akcyjne Zakładów Wyrobów Metalowych

KONRAD, JARNUSZKIEWICZ i S-KA

Telefony

Magazyny własne:

Fabryki:

5-98 WARSZAWA, ul. Grzybowska Nr. 25.

26-73. PIOTROGRÓD, ul. Morska Nr. 28.

28-36. MOSKWA, ul. W. Łubianka Nr. 2.

WARSZAWA, CHARKÓW,

ul. Grzybowska Nr. 25. Iwanówka,

ul. Ciepła Nr. 12. ul. Paszczenkowska 36.

Tel. 22-39.

Tel. 49-62.

POLECA: ŁÓŻKA i meble do użytku domowego i hotelowego

URZĄDZENIA i łóżka szpitalne, oraz dla Sanatorji

FOTELE dla chorych

LEWARY i artykuły techniczno — kolejowe.

TOW. AKC. HANDLOWO-PRZEMYSŁOWE

„Ł. J. BORKOWSKI“

Adres telegr. „ELIBOR“.

FABRYKA

MECHANICZNEJ OBRÓBKI DRZEWA

KOLARNIA i WARSZTATY MECHANICZNE

przy st. CZUGUJEW, Charkowskiej gub.

Zarząd Towarzystwa, czasowo, Piotrogród, Troicka 1.

Oddziały Towarzystwa:

w Białymstoku, Charkowie, Częstochowie, Dąbrowie Górń., Dołżańskiej, Ekaterynburgu,
Lublinie, Łodzi, Moskwie, Niższym-Nowogrodzie, Piotrogródzie, Piotrkowie, Radomiu,
Rybińsku, Warszawie i Włocławku.

SPRZEDAŻ

ŻELAZA, BELEK, BLACHY, STALI, WĘGLA, ANTRACYTU, KOKSU, CEMENTU,
NARZĘDZI, MASZYN, ARTYKUŁÓW TECHNICZNYCH, SMARÓW i t. p.

AKCYJNE TOWARZYSTWO
 ROSYJSKICH FABRYK ELEKTROTECHNICZNYCH
SIEMENS I HALSKE

ODDZIAŁ CHARKOWSKI:
Charków, Plac Mikołajewski Nr. 3.

Aparaty telegraficzne. Aparaty telefoniczne indukcyjne dla centralnej baterji i miejscowej. Instalacje sieci telefonicznych miejskich, ziemskich i prywatnych. Specjalne aparaty telefoniczne dla kopalń. Sygnalizacje kolejowe, kopalniane, pożarowe i t. p. Telegraf i telefon bez drutu. Aparaty elektromedyczne, rentgenowskie i t. p. Elektryczne termometry, pirometry i t. p. Miernicze przyrządy: amperometry, woltmetry i t. p. Zegary elektryczne, Dzwonki, Elementy, Kable telefoniczne i inne przewodniki.

A. VELTUZEN

Charków, ul. Puszczińska № 7. Tel. 6-34.

Wyłączna reprezentacja na gub. Charkowską
 Amerykańskich Maszyn do Pisania

UNDERWOOD

powyższe maszyny wszystkich wielkości znajdują się zawsze na składzie, jak również taśmy, arytmometry, szapirography rotatory-cyklostyle i wszelkie nieodzowne dla nich przybory.

Rosyjskie Towarzystwo Akcyjne

Siemens - Schuckert

CHARKÓW

Plac Mikołajewski № 3.

DOM HANDLOWY
E. Ende i W. Chodakowski
Hurtowy Skład Manufaktury.

W CHARKOWIE, MOSKOWSKI RJAD № 3 — 4.

BIURO ELEKTROTECHNICZNE
Inżyniera A. B. UCHTMANA

CHARKÓW, ulica RYBNA № 8. — TELEFONU № 13-68.

ADRES TELEGRAFICZNY: „Generator“.

Skład maszyn, wszelkich przyrządów i materiałów wchodzących w zakres elektrotechniki. Wszelkie artykuły techniczne dla kopalń. Instalacje elektryczne. Specjalny warsztat dla reparacji motorów i dynamo — maszyn.

<http://rcin.org.pl>

L I N Y stalowe tyglowe i marten. **R U R Y** gazowe żeliwne i kształtki

Gwoździe. Drut. Narzędzia rzemieślnicze. MIEDŹ i MOSIĄDZ

PRZYBORY do Wodociągów i Kanalizacyi

w wielkim wyborze poleca ze składu biuro techniczne

WŁADYSŁAW ZAKRZEWSKI

w CHARKOWIE ul. Jekaterynosławska 36. TELEFON 5-60.

Firma egzystuje od roku 1870.

**DOM HANDLOWY
INŻYNIEROWIE**

Brzostowicz, Karśnicki, Zakrzewski i S-ka

CHARKÓW, Sumska 15. Adres telegr.: „EKONOM“.

FABRYKA EKONOM. Pietińska 102.—Specjalność paleniska „EKONOM“ systemu inżyniera Zakrzewskiego dla węgla suchych, miałów, antracytu i koksiku. — Odlewy żelazne wszelkiego rodzaju. — Warsztaty mechaniczne.

ODDZIAŁ FABRYKI EKONOM, Iwanówka, ul. Sacharo-Zawodskaja 67. — Specjalność: przewody rurowe wysokiego ciśnienia. — Drobne roboty kotlarskie. — Spajanie autogeniczne na koksie. — Przegrzewacze do kotłów parowych. — Armatura stalowa. — Kształtki i kryzy stalowe. — Garnitury przewodów.

WYKONANIE KOMPLETNYCH PROJEKTÓW instalacji parowych i ulepszenie parowej gospodarki. — Wykonanie kompletnych instalacji parowo-elektrycznych podług najnowszych wymagań techniki.

DOM HANDLOWY I BIURO TECHNICZNE

C. Salome i S-ka

W Charkowie

SKŁAD: JEKATERYNOSŁAWSKA № 46.

BIURO: JEKATERYNOSŁAWSKA № 46.

ARMATURA DO WODY I PARY,
MOTORY GAZOWE I NAFTOWE,
ELEKTROMOTORY, DYNAMO - MA-
SZYNY, POMPY, MATERJAŁY IN-
STALACYJNE, TOKARNIE, FRE-
ZARKI, BORMASZYNY I INSTRU-
MENTA. RURY WODOCIĄGOWE I
GAZOWE. ŻELAZO, KOKS, WĘGIEL,
SMARY.

DONIECKI ODDZIAŁ

Rosyjskiego T-wa Meljoracyjnego

REGULACJA RZEK, MELJORACJA,
ZIEMNE ROBOTY PRZY BUDO-
WIE KOLEJI. ESKKAWATORY, PA-
ROWE ŁOPATY, TRAKTORY

ADRES TELEGRAFICZNY: „SALIKO“.

Zakład Ślusarsko-Mechaniczny

B. TOMASZEWSKI i M. WYLEZYK

Charków, ul. Dmitriewska № 4.

WYKONYWA:

Wszelkie roboty ślusarskie i kowalskie.

Konstrukcje i okucia budowlane. Nity,
śruby i haki dla telegrafu i t. p.

ŚRUBY DO METALU

najrozmaitszych wymiarów z główkami
cylindrycznymi, półokrągłymi, skośnymi
i sześciokątnymi wyrabia masowo na
specjalnych maszynach nowo utworzony

Warsztat Mechaniczny

KAZIMIERZA URBAŃSKIEGO

adres dla pism: Charków ul. iwanowska № 17.

Przedstawiciel na Charków

p. Władysław Kabza

Pracownia obuwia

Męskiego i Damskiego

J. Lisowski

CHARKÓW, Sumska № 26.

Przyjmuje wszelkie

OBSTALUNKI i REPERACJE

ZAKŁAD

STOLARSKO-RZEŹBIARSKI

STANISŁAWA

GROMKOWSKIEGO

CHARKÓW, UL. KUŹNIECZNA № 29.

WYKONYWA WSZELKIE ROBOTY, W ZAKRES
STOLARSTWA I RZEŹBIARSTWA WCHODZĄCE.
OD SKROMNYCH DO NAJWYKWINTNIEJSZYCH.

KWIACIARNIA
„FLORA“

ANNY NIZYCKIEJ

CHARKÓW, SUMSKA № 7

ZAKŁAD OGRODNICZY W POSIOŁKU „ZIELONY GAJ“

Poleca wszelkie wyroby w zakres kwiaciarstwa wchodzące w artystycznym wykonaniu. Dekoracje mieszkań, kościołów, zebrań i t. p.

Wieńce, laury i palmy.

Zarządzający artysta — bukieciarz

S. Mazurkiewicz.

K. Mystkowski

(dawniej w Kaliszu)

Podolski Zaulek Nr. 15.

Filia — Ekaterynosławska Nr. 32.

PIECZYWO, PIERNIKI

Wyroby cukiernicze.

WYROBY KOSZYKARSKIE

— ZWYCZAJNE I OZDOBNE —

— W WIELKIM WYBORZE —

poleca

Zygmunt CZERWIECKI

Rogatyński zaulek Nr. 5.

Biagowieszceński Bazar, vis a vis Hali Targowej

Sklepu Nr. 25.



ZEGARMISTRZ

EUGENIUSZ syn Piotra

SMALEC

z Warszawy

Firma egzystuje od 1877 r.

sprzedaż i reperacja zegarków do najbardziej skomplikowanych.

Charków, Mironosicka № 17, m. 5.

Warsztaty Mechaniczne

Franciszka Kozłowskiego

CHARKÓW, WIELKA PANASOWSKA № 34.

WYKONYWA WSZELKIE ŚRUBY DO METALU ORAZ NITY.
MASZYNY NOWE I REPERACJA WSZELKICH MASZYN DLA
PRZEMYSŁU.

Towarzystwo Akcyjne

dla eksploatacji kamiennej soli i węgla w Rosji południowej.

ZARZĄD GŁÓWNY: CHARKÓW, ULICA SUMSKA № 21 — 23.

<http://rcin.org.pl>

MAGAZYN WYROBÓW PLATEROWYCH

fabryki

Józefa Fraget

z Warszawy

w CHARKOWIE, ulica Uniwersytecka

POLECA:

NOŻE, WIDELCE, ŁYŻKI, ŁYŻECZKI i t. p.

oraz

Serwisy stołowe, do kawy i herbaty gładkie
i stylowe w najnowszych fasonach.

FABRYKA SMARÓW

A. VELTUZEN

i

W. BIELICKI

CHARKÓW, Pietińska Nr. 15.

dom własny

Firma egzystuje od roku 1897.

Telefony: 19-54 i 35-07.

KAPELUSZE

WARSZAWSKA

FABRYKA KAPELUSZY

MĘSKIE, DAMSKIE i DZIECIENNE
FILCOWE i SZYTE Z MATERJAŁÓW
POLECA NA SEZON LETNI

Jana Helberta

CHARKÓW, ulica KANTORSKA Nr. 35.

INSTYTUT BAKTERJOLOGICZNY
CHARKOWSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

CHARKÓW, ulica PUSZKIŃSKA № 14, dom własny.

WYRABIA: SUROWICE LECZNICZE. — WAKCYNY. — TUBERKULINY. —
GLEBY ODŻYWCZE. — TRUCIZNY dla tępienia szcurów i myszy. —
WYCIĄG *Brown* — *Sécard* (spermina).

INSTYTUT CHEMICZNO-MIKROSKOPICZNY
CHARKOWSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

ZAŁOŻONY W 1888 ROKU

CHARKÓW, ulica PUSZKIŃSKA № 14, dom własny.

Telefon № 8-29.

WYKONYWA WSZELKIEGO RODZAJU BADANIA CHEMICZNE, LEKAR-
SKIE I ANALIZY DLA CELÓW ROZPOZNAWCZO—LEKARSKICH.

STAL narzędziowa angielska

„Best Cast Steel“ fabryki „Sanderson Brothers & Newbould, Ltd.“

ŚWIDRY do metalu

amerykańskie „Cleveland.“

PIŁKI do metalu

amerykańskie „Starrett.“

PŁÓTNO szmerglowe

angielskie „Oakey'a.“

polecają **Krzysztof HRUN i Syn**

WARSZAWA
PLAC TEATRALNY.

Skład towarów żelaznych i narzędzi

CHARKÓW
RYBNA Nr. 15.

ŻELAZO, STAL, BELKI, SZYNY, BLACHA, WSZELKIE METALE, WĘGIEL, KOKS,
ANTRACYT, CEMENT, WAPNO, MASZYNY, WSZELKIE ARTYKUŁY TECHNICZNE.

Towarzystwo Akcyjne Handlowo-Przemysłowe

Ł. J. BORKOWSKI

Kapitał zakładowy 3.000.000 rubli

ZARZĄD czasowo w Piotrogradzie, Troicka 1.

ODDZIAŁY: w Białymstoku, Charkowie, Częstochowie, Dąbrowie Górniczej, Ekateryn-
burgu, Łodzi, Lublinie, Moskwie, Niżnim - Nowgorodzie, Piotrogradzie, Piotrkowie, Ra-
domiu, Rybińsku, Warszawie, Włocławku, Sosnowcu.

FABRYKA W CZUGUJEŃIE Charkowskiej gubernji

AGENTURY i SKŁADY Charkowskiego oddziału:

AŁMAZNAJA

Ekaterynosł. gub.

DOŁŻAŃSKAJA

O. W. Dońskiego.

ADRES TELEGRAFICZNY ZARZĄDU I ODDZIAŁÓW: E L I B O R.

ŻELAZO, STAL, BELKI, SZYNY, BLACHA, WSZELKIE METALE, WĘGIEL, KOKS,
ANTRACYT, CEMENT, WAPNO, MASZYNY, WSZELKIE ARTYKUŁY TECHNICZNE.

ROSYJSKIE TOWARZYSTWO
**POWSZECHNE TOWARZYSTWO
ELEKTRYCZNOŚCI**

Oddział Charkowski ulica Moskiewska Nr. 7

Telefony: 6-50, 27-27 i 26-73.

Turbo-generatory, Dynamo-maszyny, Dźwignie, Dźwigi elektryczne, Transformatory, Liczniki elektryczne, Przewodniki, Materiały izolacyjne i instalacyjne, Żarówki, Lampy metalowe i t. p.

ODDZIAŁY: Piotrogród, Moskwa, Jekaterynburg, Samara, Taszkent, Władywostok, Irkuck, Omsk, Jekaterynosław, Rostów nad Donem, Odesa, Kijów, Ryga, Warszawa, Łódź, Sosnowiec, Baku.

Fabryka i Oddział sprzedaży w Charkowie.

F
23.719